

**WACŁAW  
BERENT**

OZIMINA

# Wacław Berent

## Ozimina

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23527410](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23527410)

*Ozimina:*

### Аннотация

Luty 1904 roku. W salonie baronostwa Niemenów odbywa się wielkie przyjęcie, w którym uczestniczy warszawska inteligencja i arystokracja. Zgromadzeni oglądają występy artystyczne, tańczą, flirtują i prowadzą rozmowy o polityce i ideologii – wśród rozmówców znajdują się konspiratorzy lewicowi i prawicowi. Elementem, który wzbudza niepokój i tajemniczy nastrój jest kukła murzyna stojąca w rogu salonu. W trakcie przyjęcia przychodzi także informacja o wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Ostatnia część powieści wyprowadza bohaterów na ulice Warszawy... Ozimina Berenta to powieść, która powstała w 1911 roku. Jest swoistym komentarzem, podsumowaniem nastrojów rewolucyjnych i Rewolucji 1905 roku. W treści ścierają się ideologie, jednak nie wypowiada ich narrator, tylko prezentują poszczególni bohaterowie. Ozimina jest również skarbnicą odwołań do innych motywów literackich – literaturoznawcy przede wszystkim wskazują na jej korespondencję z Weselem Stanisława Wyspiańskiego. Zauważa się w jej budowie wiele cech dramatu, a także cechy powieści polifonicznej. Wacław Berent to powieściopisarz okresu modernizmu. Znany przede wszystkim jako autor Próchna, Oziminy i Diogenesa w kontuszu.

# Содержание

Чаść pierwsza	5
Конец ознакомительного фрагмента.	89

# Wacław Berent

## Ozimina

*ozimina* – roślina uprawna, która do prawidłowego przejścia całego cyklu rozwojowego potrzebuje okresu niskich temperatur; dlatego jest wysiewana jesienią, zimuje, a plon wydaje od wiosny do jesieni następnego roku. [przypis edytorski]

## Część pierwsza

Lodowy połysk czarnej taflí fortepianu i mocne lśnienie posadzki rzucały mu na salę jakby pył powietrzny i ogromne zmatowanie barw w głębi. W tym dla oka oddaleniu tonowała się jaskrawa rozmaitość kobiecych strojów w kilka plam zamglonych pod czarnym wirem mężczyzn. Tylko na krześle najbliższym odsada<sup>1</sup> barw mocnych – widniała jakaś bluzka o wodnej zieleni, twarz otwarta, jasna i włos ciemny, rozjaśniany w ciepłe połyski, zda się, kontrastem do tej hebanowej czerni fortepianu, sponad której padały oczy jego.

Stał jak wyczekujący rybak tej czarnej łodzi, przerzucając białe karty nut rozłożonych na hebanie.

A dziewczyna przyglądała mu się przez zmrużone rzęsy pozornie nigdzie nie patrzących oczu. Obserwowała go z przedziwnie długim spokojem, zamknawszy złożonymi na kolanach dłońmi dwa doskonałe półkola toczonych ramion, obciśniętych wysoko w białą skórę rękawiczek. Czoło spokojne, prawie kamienne, z odgarniętym zuchowato ciemnym włosem, oczy zmrużone, a żywe jak u węża, rzucały aż na skroń wibrującą zmarszczkę uwagi. Rozmigotanie ciekawości, pytań i półuśmiechów przepływało, zda się, spod oczu przez pełne jak jabłka policzki ku ustom i wracało falą pod zmrużoną

---

<sup>1</sup> *odsada* – odróżnienie. [przypis edytorski]

powiekę; zaciśnięte wargi rzucały od kątów w stronę uszu drgające rysy swawoli czy czegoś gorszego. Zastawiał się za ten wyraz głupkowaty podbródek o migdałowym owalu i miękkości dziecięcej. Siedziała nieruchoma jak posąg, półkřęgami ramion obejmując wydatną pierś; pazury krótkich łapek, rzekłbyś, miętko złożone, tkwiły w rękawiczkach – pod to przymrużone, wężowe zapatrzenie skośnych oczu.

Gdy po jakimś czasie wyszedł do dalszych pokojów, w małym przejściu za salonem spotkał się oko w oko z tym uśmiechem na wibrujących policzkach. Dłoń spokojnie złożona w dłoni zamykała toczone półkřęgi ramion nieruchomych.

„Cóż to znów znaczy? – myślał. – Obcej kobiety uśmiech dobrze mi znany zastępuje mi drogę jak w wizji”.

„Pan mnie nie poznaje?” – pytały oczy zmrużone.

„Nie. Ponieważ rzecz dzieć się powinna w ponurym wąwozie”.

Roześmiała się niemo: białym błyskiem zębów oraz niewolnym<sup>2</sup> podrzuceniem piersi wydatnej, a cała postać rozbłysła życiem w tym uśmiechu. W bliskości tej kobiety uderzył w niego wiew świeżyny jak od owoców, a zarazem skwaru, w którym one dojrzewają; jakaś tryumfująca wegetatywność bujnego życia, leniwa do słowa, ciężka do głosu i gestu – jak w letnie południe.

Urażona czy też zbyt opieszła, aby się przypominać w rozmowie, zwróciła się ku drzwiom sąsiedniego pokoju; na znak, że wyszła tu jedynie dla poprawienia uczesania, wyjęła szpilkę

---

<sup>2</sup> niewolny – tu: mimowolny, niezależny od woli. [przypis edytorski]

rogową i wbijała ją po drodze niedbale w włosy, jak widły w snop.

„Amalteo!” – zaczął już było<sup>3</sup>, gdy ten gest ostatni tajemniczym kojarzeniem drobiazgów naprowadził go na dawne wspomnienie. „Czyżby ta mała ze wsi? Czyżby ona?”

– Panna Nina? – zgadywał tedy, zapatrzony w sową jędrność i pełnię kształtów, które, rychło patrzeć, staną się przelewne.

– Ja!

Krwiste wargi rozchyliły się w uśmiechu długą szczeliną, jak pękający owoc granatu, a słowo z nich wyłuskało się ciężkie, soczyste, jak purpurowe tego granatu ziarno; zakwitły policzki.

Roześmiał się. „To dumne samopoczucie tego «ja»! Ta smakowita błogość tego słowa, jak u Murzyna. Wierzę, tu można być zwięzłą w słowie; wszystko inne jest zresztą zbyt wymowne”.

– Już?! – krzyknął. – Już „ja”? Ależ to poszło w tempie tropikalnym! Kiedyż przeniesiono do miejskich cieplarni?

– Pan utył.

Ta lapidarność powitalnej konstatacji obcięła mu od razu słowa i myśli wszelkie. Czuł się tak samo oglądany i ważony nieomal, jak sam to czynił; bodajże z jednym wynikiem. Jego ostatnie pytanie i jej konstatacja zbiegały się na jednym motywie. Myśl ruchliwa utkwiała mu nagle na wzajemnych uśmiechach.

„Doświadczam lakonicznego szczęścia młodego padyszacha – pomyślał, splatając dłonie na dołku. – Odzyskawszy kontenans,

---

<sup>3</sup> zaczął już było – daw. konstrukcja, czas zaprzeszy o znaczeniu: wcześniej zaczął (zanim nastąpiło coś innego). [przypis edytorski]

pozostawałoby już chyba tylko sięść na tym miękkim jak puch dywanie, wesprzeć głowę o taboret z poduszek, jeść sorbet i całować się słodkimi wargi<sup>4</sup>”.

„Cóż za ubikacja<sup>5</sup> przedziwnie leniwego nabożeństwa! – mówił do siebie, rozglądając się po tym spiętrzeniu dywanowych poduszek, taboretów, otoman, foteli, portier, kotar, kobierców i wezłowi. – Cóż za wykwint kaukaski! Jakaż profuzja tapicerskiego geniuszu i perskiego natchnienia!”

Poczęła wyłuskiwać z rękawiczek pięści małe i twarde jak orzechy, ogromnie żywe tym ogorzeniem i połyskami jak na miedzi. Ręce, w sobie krzepkie, zdały się jeszcze jędrniejsze spod rękawiczek.

– Pani musi być silna?

W odpowiedzi wystawiła mu na zgiętych łokciach swe szpony. Zanurzył palce w ich ciepło żywe i pozwolił sobie oczywiście przegiąć dłonie. Lecz w tejże chwili pożałował tego. „Na tę głupią stawkę gotówem na samym wstępie przegrać wszystko”.

– Jaki pan słaby! – rzekła, odymając wargi.

Podeszła wreszcie do lustra, by poprawić włosy.

– Któż to jest ta panna Ola? – pytała wzgardliwie. – Och, jak ja jej nie cierpię.

– Za co?!

– Ona pewnie jest taka sztuczna, a wy ją wszyscy może tak adorujecie: artystka!

---

<sup>4</sup> wargi – dziś popr. forma N. lm: wargami. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> ubikacja (tu daw.) – miejsce, pomieszczenie. [przypis edytorski]

Odpowiedź rozprysła mu się w śmiechu.

– „Pewnie” i „może” – powtórzył.

– A ja wiem o tym panu Tańskim. A co!

– Już?

– O, kobiety wszystko o sobie wiedzą! Ja mu się tam dobrze przypatrzyłam.

– Wcześniej! – mruknął. – Ile też panna Nina ma lat?

Pokazała mu czubek języka w lustrze.

– No, a pani domu – drażnił dalej – pani Lena? Ta jest naprawdę piękna.

Panna Nina stała się uważającą; źrenice pod zmrużonymi powiekami spłynęły na boki: „Och, te palce pod pięściami!” – zauważył mimochodem.

– Panie, co to było z nią i z tym poetą? – zadygotała cała z nagłej ciekawości.

– Z Woydą? Nie wiadomo. Dwa lata temu na takim jak dziś zebraniu przyszedł tu oto, do tego pokoju, chodził długo po tym miękkim jak śnieg dywanie i dziwił się pewno, czemu śnieg jest tak purpurowoczerwony, jakby krwią nasiąkły. Nalał sobie wody – ot, z tego dzbana, który trzyma ta wielka kukła Murzyna – nalał wody, połknął coś wyjętego z kieszeni od kamizelki, popił i siadł tu... w tym oto kącie... Tak usiadł.

– Niech pan przestanie! – krzyknęła nagle i przysłoniła oburącz oczy. – Fe, i ten dywan! – kaprysiła pod grą wyobraźni, podgarniając czym prędzej suknię. A gdy uległ temu wezwaniu i zaniechał opowiadania:

– No i co było dalej?

– Tu usiadł. A tam na sali grano właśnie kwartet jakiś jemu na rozmarzenie, więc mu się głowa tak oto w tył pochyliła w zasłuchaniu, otwierały się oczy. Tak. A z salonu wymknęła się tymczasem piękna pani i przysiadła się do niego marząca.

Tym razem wstrząsnęła się całym ciałem i poczęła przysłaniać sobie na przemian oczy i uszy. Im dłużej myślała, tym większego impetu nabierała wyobraźnia. – Nie! nie! – krzyczała coraz gwałtowniej. – Niech pan nie mówi! – A do zadyszanej piersi przyciskając obie dłonie, pytała wnet tłumionym szeptem przerażenia:

– I co było dalej?

Ale on kończył już niechętnie:

– Piękna pani poczuła rychło, przy kim siadła. I pierwszym jej uczuciem był pewno wstręt, drugim strach, trzecim groza, że z człowiekiem, z nami, tak łatwo stać się to może. I wtedy zapewne zemdląca. Po ocuceniu się, oczywiście, rozpaczła. Gdy zaś w samotności o rozpaczaniu zapomnieć musiała, wtedy zjawił się może nawet i żal. Dziś, gdy samej siebie zapyta, czy go aby jeszcze pamięta, odpowiada sobie bez wątpienia: „O, tak”. Ale pani, panno Nino, wcale już mnie nie słucha?

Ocknęła się z zadumy podrzutem ciemnej grzywy zuchowato odgarniętej z czoła. I wtedy dopiero ujrzał te skośne oczy po raz pierwszy otwarte: ich źrenice małe jak grochy; złotoczarne, złe, niespokojne oczy.

– Dla niej?! – krzyknęła. – Dla niej?!... Oo!

I jąta chodzić nagle po pokoju; zrazu ocieźzale, przelewnie jak gołąb; potem stawał się jej krok miękkim na dywanie, szukającym rytmu, nerwowym i czujnym jak u kota.

– Co?! – zatrzymała się nagle, jakby przerażona wibracją swych wyobrażeń czy też jego zapatrzeniem się badawczym.

– Ni-ic – odpowiadał przeciągle. – Ja nic nie mówiłem.

– I czemu pan tak na mnie patrzy? Nie, ja nie chcę! – kaprysiła, otrząsając z siebie jego spojrzenie. – Czy ja co powiedziałam? A może co złego? Pan tylko ze mnie wyciąga...

– Liskę. Policzki ma panna Nina jak jabłka.

W nagłym opadzie w nieufność co do siebie powróciła smętnie pod lustro, do kominka. Jakaś chusteczka, tegoż wodnego koloru co i bluzka, znalazła się w dłoni, potem między dłonią a zębami, w upartym widocznie postanowieniu nieobcierania oczu. Czego on od niej chce?

Dopiero kiedy ujął ją za rękę, wlało w nią to ufność do siebie, a wraz z nią i zaczepność.

– Niech mi pan lepiej zapnie rękawiczki – mówiła obrażona, wyciągając ramię w tył, by nie widzieć go na oczy.

Ale jemu splątały się rychło palce; zapiął krzywo, krzywe rozpiął i rozchylił szczelinę rękawiczek aż poza łokieć. A gdy spiżowej zwartości i chłodu ciała dotknęły jego wargi, ramię wydłużyło się niewolnie: mięśnie same przeżyły się pod pocałunkiem.

– Jacy wy wszyscy jesteście nieznośni!

– Już „wszyscy”?! – mruknął smętnie. Lecz w tejże chwili

drobna garść schwyciła go za czarny czub włosów nad czołem.

– Zawsze się ze mną drażni – jak wtedy na wsi! Zawsze mnie tylko na słówkach przyłapuje. Niejedno mi wyskoczy, bo ja sobie nic w głowie nie układam. Mnie wszystko samo przychodzi.

– Tam do diabła, wierzę!

W gwałtownym pod uściskiem w tył pochyleniu pierś i szyja dziewczyny zdały się jak z granitu ciosane. A uśmiech jej ust rozedrganych rozplątał się w pocałunku długim i powolnym jak łąza. Zaś to warg roztkliwienie przelotne przeniosła wibrująca fala na jabłkowe policzki, pod rzęsy długie, w czujną ciekawość wciąż przymrużonych oczu. A gdy głowa szarpała się raz w raz: – Dosyć!... Ludzie! – pulsujące przy ustach rysy pytały ze złośliwym spokojem: „Co dalej?...”

„Rzeczywiście, ludzie!” – krzyknęło w nim niepokojem. – Ładnie byśmy wyglądali potem! – wyrwało się z ust głośno.

I odskoczył.

Rozbieganymi palcami zapięta w mig rękawiczki na ramionach. Lekkie przyglądanie włosów przed lustrem, wraz spokojne i kokieteryjne, chwyt boczny za suknię i, ku temu chwytowi lekko podana, oddalała się do salonu swym gołębim krokiem wśród suchego turkania sukien. Wargi szeptały coś. Już wpółukryta za portierą zwróciła ku niemu usta i tę ryse przy nich, w profilu tak jawnie złośliwą.

– „Potem”? „Potem”? O tym nie myśli się przedtem.

Parsknął suchym śmiechem jak ryś i poskoczył. Zaplątany w ciężką portierę, targnął ją w pasji i uderzył się z całym

rozmachem w czoło.

Drzwi za portierą były już zamknięte.

Przez szczelinę ledwo uchylonych drzwi przemknęła się niebawem osóbką malutka i cicha jak ćma i cieniem zapadła w głęboki fotel najmroczniejszego kąta pokoju. Coś jakby skrzydła tej ćmy zatrzepotało się koło głowy płowej – splotły się dłonie na twarzy i przysłoniły oczy. Kształtem drobnym wsiąkła w fotel, ledwo płaską plamą w krzyż znaczyła się na szerokim kadłubie oparcia i w wysokich jego ramionach jak w skrzydłach nietoperza – jasna główka i przezrocze<sup>6</sup> dłonie jakby poświętały muśnięte. I tak oto wniosła ze sobą oćmę, księżyc, ciszę i to trzepotanie się stworzenia nocnego.

„Oto jest przeciwny biegun – myślał przerywając swą zadumę – oto i artystka! Do gorączkującej główki przykłada sobie kataplazm z swych rąk zimnych zawsze jak lód; swe małe, udręczone ciało, o którym sama nie dowiedziałyby się nigdy, chce nieść w mrok, w zapomnienie – i składa je w nietoperzowe objęcia nocy: w rojenia okrutne”.

Przysłuchiwał się oddechowi dziewczyny – w zrywanym jego tempie trzepotało się serce znużone. Lecz w miarę słuchania i jego piersi stłaczać coś poczęło i przyśpieszać puls w rytmy nierówne. Nieznośne uczucie fizycznego jakby niestatku<sup>7</sup> wszystkich organów rozlewać mu się poczęło cierpkością po

---

<sup>6</sup> *przezroczy* (daw.) – przezroczysty. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *niestatek* (daw.) – niestateczność, nieustatkowanie; niepokój. [przypis edytorski]

żyłach. „Dziwna rzecz – mówił do siebie, że ja przy niej zawsze czegoś podobnego doświadczać muszę. Jak się te rzeczy potwornie udzielają!?”

Otrząsnął z siebie to lichy i powstał z miejsca, aby wyjść z pokoju.

Poświatowa przepaska splecionych dłoni usunęła się z czoła: spojrzenie oczu dziwnie okrągłych o zaprzepaszczonej gdzieś błysku, niby płomyk tlejący gdzieś w głębiach czaszki, pod siwą źrenicą. Wpiły się w niego te sówie oczy i zatrzymały odchodzącego we drzwiach.

– I pan jest taki sam! – rzekła głosem kobiecej goryczy: apatycznym, a przecie z upartym akcentem pewności, z przyśpiewem na ostatnim słowie. – Taki sam – powtórzyła – jak ja.

– Co?! – zachnął się mimo woli i nie opanował nawet wyduęcia warg.

Pod dłońmi rozległ się wymuszony śmiech. Opuściła wreszcie ręce przed twarzą i wsparła je szeroko na poręczach fotelu<sup>8</sup>. „Że też ona zawsze pozować się musi” – przemknęło mu ubocznie w myślach na widok tej hieratyczno-egipskiej posągowości układu na siedzeniu ciemnym jak tron bazaltowy. „I te ręce! – dodał w duchu – wysztywnione i prężne na oparciach, dłonie boleśnie smukłe, o długich, prześwieتلonych palcach: ręce królowej z dwunastej dynastii faraonów lub memfijskiego Ptaha”.

– Jak pana oburzyło to przyrównanie do mnie! – próbowała się

---

<sup>8</sup> *fotelu* – dziś popr. forma D. lp: *fotela*. [przypis edytorski]

uśmiechnąć. – Ja sama nie wiem, skąd mi się i to wzięło... Wie pan – mówiła z tym impetem kobiet nerwowych, które, gdy raz przerwą swe uparte milczenia, wpadają wraz w nową inercję – wie pan, ja zawsze o sobie myślę; ciągle, nieustannie. Obrzydliwe to jest! – wiem. Ale przy tym wszystkim myślę inaczej: nie osobą, nie postacią. Gdy ujrzę chałupę omszałą w smugach deszczu, oślizgłą, brunatną, opłótek przy niej rozpadły, krzyż bez ramion ulewą ociekły, jakiś szmat drogi błotnej, wiodący po pustkowiu pewno nigdzie – wówczas myślę aż do bólu w piersiach, że to ja. Nie w przerośni żadnej, ale tak, po prostu, w pierwszej chwili. Nie myślę nawet wcale, czuję tak. I cóż ja na to poradzę... Gdy maluję kwiaty... Powiadają, że moje kwiaty są jakby dreszczem zatulone, pąki zawsze zwiędłe...

„Uch! – westchnął w duchu. – Brunatne, rude, rdzawe, żółtawe, oślizgłe, ociekłe, dymne, nadgniłe, błotne, zwiędłe: cała słota miejska! Przed chwilą widziałem dziewczynę, której milczenie mieni się wszystkimi barwami słońca”.

I przysiadłszy się do niej, mówił z jakąś głuchą i bezceremonialną już pasją:

– Wyobraźnia jest dla kobiet niebezpieczniejszym ogniem od zmysłów, zwłaszcza ta wielkowiejska: sztucznie hodowana i już w dziecku boleśnie znużona.

Szare jej źrenice rozbiegły się w niepokoju jak krople rtęci.

– Po co pan to mówi? – wyszeptała zaledwie.

I nagle łyzy sypkie i podłużne jak perły poczęły się ścigać z ogromnym pośpiechem po policzkach.

Zagryzł gniewnie usta, które się przegadały, i pochylił się czym prędzej nad nią.

– Panno Olo<sup>9</sup>, ja dalibóg...

Opuszczała głowę coraz to niżej. Miał wrażenie, że gdyby musnął dłonią te jej płowe włosy, z suchego ich puchu sypnie mu się w palce grad drobnych iskier. Ujął ją za rękę – i oto chłodnym prądem poczęło mu się rozlewać po żyłach poprzednio już zaznane uczucie jakiegoś przygnębienia, fizycznej jakby niechęci do samego siebie, goryczy wewnętrznej, która podejmowała się niby suchą i palącą zgagą, włąziła mu w szczęki i zamykała je twardym zaciskiem. „Nerwy! – myślał. – Ta jest wyładowana tą energią czyśćca! A te jej siły wewnętrzne, wymknięte z ślepych konieczności organicznego ładu i z panowania woli, siepią<sup>10</sup> się oto bez sprzęgu i wybijają na zewnątrz jakąś potępieńczą władzą bolesnych odgadywań, przeczuć, wróżbnoczucia. Czarownica!”

Oto opadła ta gorączkująca głowa dziecka w chłód splecionych dłoni, chyli się coraz niżej, zwisa coraz to bezsilniej, zginając w pokurcz rozpaczy jej postać drobną. Jemu na ten widok krew uderzyła do głowy, a wraz z nią i ta myśl nagła:

„Ratuj głowę chłodnym upieszczeniem dłoni. Spaląc<sup>11</sup> ludziewym własnym ogniem!”

---

<sup>9</sup> *panno Olo* – dziś popr. forma W.: *panno Olu*. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *siepać się* – strzępić się (tu przen.: rozpadać się). [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *spaląc* – spalać cię (w tym zdaniu *-ć* jest jednocześnie skrótową od: *-ci* partykułą wzmacniającą). [przypis edytorski]

I nie patrząc już na nią, wyszedł szybko z pokoju.

– Przepraszam – usłyszał słowo rozlewne, szerokoustne, które owiało go jak zasapany oddech. Z tamtej strony drzwi natknął się na pana Tańskiego.

– Proszę! – krzyknął nieomal z pasją, rozchylając przed nim skrzydło drzwi, które był zamknął przed chwilą.

I przemykając się przez tłumy w salonie, wydostał się do gabinetu, gdzie palono. Wraz z dymem tytoniowym wracało opanowanie myśli.

„Uspokój się – mówił do siebie – tam się łatwiej zgodzą, niżli przypuszczasz... Nie ma takiego nieprawdopodobieństwa, które by w podświadomym po mrokach bytowania takiej ćmy dojrzeć nie mogło. Cóż łatwiejszego niż takiej bierności narzucić sposób odczuwania. Niewolą sama się zamota. Zażycie takiego stworzenia jest przecie tylko przebolesnym składaniem ofiary z ciała chłodnego za głowę gorącą”.

Ktoś wychodzący nie zamknął za sobą drzwi do przedpokoju. Tam w głębi stała ona w rotundzie<sup>12</sup> na ramionach. Złota głowa o migdałowym owalu i ustach dziecka spoczywała na białym futrze podniesionego kołnierza jak na misie ofiarnej, cała w dymach od cygar jak w kadzidłach obrządkowych; tymi kłębami buchnęło ku niej powietrze *androceum*<sup>13</sup> przez uchylone drzwi palarni. Ilu

---

<sup>12</sup> *rotunda* – kobiece okrycie wierzchnie, modne w XIX w., szyte z kolistego fragmentu materiału, z rozcięciami zamiast rękawów. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *androceum* (z gr. ἀνήρ, ἀνδρός, *aner, andros*: mężczyzna; męski) – tu: pomieszczenie przeznaczone dla mężczyzn; palarnia, gabinet, w którym pan domu podejmował męskich gości. [przypis edytorski]

mężczyzn tu było, oczy wszystkie roziskrzyły się ciekawością. „Tak to czyścić w duszy kobiety – pomyślał – magnesem was pociąga i obiecuje gnuśności waszej rozkosze dziwne: spalania tej ofiary jej własnym ogniem”.

„Przecież to jest chyba somnambula<sup>14</sup>!” – krzyknęło w nim coś, gdy poczuł na sobie jej wzrok. Wielkie kręgi tych oczu świeciły w tej chwili blaskiem żółtym jak u sowy.

I to przez okna źrenic jakby widne, złowróźbne żagwienie<sup>15</sup> się tego mózgu przyłgnęło do niego spojrzeniem czarownicy. Tym blaskiem oczu dziwnym w niego zapatrzona, zda się mówić, wróżyć mu uparcie:

„I pan jest taki sam!”

„Co?!” – szarpnął się cały. I doskoczył ku niej mimo woli zza progu palarni.

Podobno panna Ola zaśląbła, podobno pan Tański jest tak uprzejmy, że odprowadza ją – podobno do domu. Pono drzwi zatrasnęły się w tej chwili za nimi.

Stał oto przed tymi drzwiami i powtarzał urągliwie:

„Zaszczytne jest dla mnie przyrównanie do takiej osóbkii żeńskiej! Co ta somnambula mogła mieć na myśli: «I pan jest taki jak ja?!» Trawiony zimną gorączką wielkowiejską? Wleczony biernie w tej gorączki rozpustę? Spalony przez innych ogniem własnym?...”

Do przedpokoju wpadł w rozwianym fraku młodzieniec,

---

<sup>14</sup> *somnambula* – somnambuliczka, lunatyczka; wariatka. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *żagwienie się* – żarzenie się, powolne spalanie (tu przen.). [przypis edytorski]

przez niego tu dziś wprowadzony: muzyk, o którym już tyle mówiono, że pani chciała go widzieć u siebie i popisać się nim przed swoimi gośćmi. Wpadł oto, zawiął połami, przebiegłszy do palarni, wicherzył tam długie włosy i zaglądał ludziom niespokojnie w oczy. Po chwili znów się we drzwiach ukazał.

– Nie widział pan przypadkiem panny Oli?

Że zaśląbła i powróciła do domu, odpowiedział w dymie.

– Z kim?... To jest, kto odprowadził? – z przymilającym się uśmiechem poprawiał czym prędzej impet pierwszego pytania.

– Nie wie pan? – uprzedzał w arcynaiwny sposób cierpkie ociąganie się z odpowiedzią.

Był tak dalece nieopierzony w doświadczenie, że oszczędził mu w ogóle odezwania się, decydując w pośpiechu za niego:

– Pan nie zauważył!

I oglądał się, aby zagadnąć kogoś ze służby.

Chłopak miał w oczach desperacką bezradność, jak zbłąkany pies.

O framugę drzwi wsparty, mdły tym ustawieniem niedbałym, w stroju frakowym wysmukły i wiotki, jakby rozchwiany w nonszalancji swojej, zwracał ku ludziom swą twarz białą, z uśmiechem warg nigdy nie domkniętych, podgarniał dłonią kruczą czuprynę.

W tym zbiorowisku mijał szybko oczami kobiety surowe, suche na twarzy i rękach, ubrane sztywno i bez gustu – niewiasty o charakterze żadnym w postaci, stroju i obliczu: młode

reprezentantki posagów, matki skrofulicznych dzieci, osoby bez płci i wieku; przyschłe w hugonockiej cnocie bogobojne małżonki solidnych mężów.

Lecz oto inne: gładkie ciała wszelkich sfer, małżonki nabywane po wszystkich targach – białogłowy cieliste o miękkim wejrzeniu i pulchnych policzkach, rzekłbyś, jak to na Wschodzie, ciastem karmione i zopierające na tej strawie. Twarze lekko obrzękłe, mleczne i przezrocze – przedziwne tło dla oczu ciemnych, w których tli się życie monotonne w lubieżności cichej. Ręce nie z tych, co się do rozkazywania lub marzycielskich bezczynności rodziły, raczej kuse, forsownie pielęgnowane, przebiące; dłonie, które chyba nigdy niczego się nie dotykały i służyły na to tylko, by obładowane w pierścionki spoczywać przed oczyma ludzi na materiałach sukien. Wszystkie te kobiety, rzucało mu się i to w oczy, siedzą nieco za szeroko na krzesłach – nie domykały się kolana nóg krótkich; sprawia to może pulchność osób lub, co prawdopodobniej, ta w bierności zawsze półsenna egzystencja hodowanych stworzeń, to ich nieustanne poczuwanie się do kobiecości – fizycznej.

Siedzą tedy luksusowe małżonki i dyszą perfumami, promieniają w powietrze fluidum cielesności białych – wytwarzają atmosferę cieplarni.

Przytrafia się wśród tych ciał wystawnych niewiasta dorodna, jak ta, na której zatrzymało się jego spojrzenie. Lico gładkie wykrzywia lekki wyraz semicki lub może nuda zastygła oto w tym kwaśnym grymasie ust, rozchylnych w dziób ptaka

na posusze. Ułożyła się melancholia tej głowy na przegięciu szyi smukłej, wsparła w czarnym opuchu włosów przebijnych i spogląda przed siebie mdło – purpurowych warg kręgiem, zębów perłowych błyskiem i płowiejącym jakby aksamitem oczu.

Tych to oczu opieszłość i chłodne wyszczerzenie zębów zatrzymały się na nim, gdy stanął we framudze drzwi; a zwrócone ku niemu, zdały się mówić: „podziwiał!”. Pod tych to oczu hipnozą podgarniał mimo woli czuprynę, poprawiał wąsa i uśmiechał się niedomkniętymi wargi<sup>16</sup> oraz nonszalancją postawy całej, opływając równocześnie spojrzeniem wszystkie kształty tej najdorodniejszej. I tak oto wystawiali się oboje na jarmarku narcyzowych próżności, czyniąc beznamiętnymi oczy kłamne po salonach tokowiska.

Z drugiego końca spoglądała nań tymczasem swą długą twarzą pani domu.

Siedzi jakby niedbale, postacią swą pełną giętko zagłębiona w fotel głęboki. Jej suknie, w chodzie tak powłóczyście, mąciły się teraz w kapryśne fałdy, opadały ciężko na jeden bok, wyciskając obciśłe sowity kształt biodra. Z włosów bursztynowych pokrętnego snopa wywijał się splot łukowy i opasywał grubą liną szope nad czołem: włosy, które wchłonęły, rzekłbyś, w siebie cały nadmiar wegetacyjnych soków wspaniałego ciała i zaskrzepty lśniąca żywicą. „I pomyśleć – mówił do siebie – że dla tej kobiety rozhukał ktoś swoją wyobraźnię aż do granic samobójczych”.

---

<sup>16</sup> wargi – dziś popr. forma N. lm: wargami. [przypis edytorski]

Lecz oto spogląda ku niemu wciąż z chłodnym i długim uporem, aż póki się nie domyślił i nie przystąpił.

– Chciałam pana o czymś uprzedzić – mówiła głosem, jakim porusza się bardzo drażliwą sprawę. Na jej długiej twarzy i szerokich wargach błąkał się uśmiech zakłopotania.

– Już wiem! Nieboszczka moja ma tu dziś śpiewać u pani, więc w wielkiej swej dobroci wołała mnie pani uprzedzić, aby mię nie przeraziło widmo postarzałe.

Uśmiechnęła się miękko szerokimi wargi. – Takie przeszłości nie umierają nigdy. Najlepszy dowód, że przybył tutaj – a teraz dopiero przychodzi jej do głowy, że nie mógł wiedzieć o tryumfalnym przyjeździe – nieboszczki. Co zaś do postarzenia się, czeka go miłe rozczarowanie.

Po chwili, nie mogąc pohamować lekkiego dreszczyku:

– Ogromnie ciekawa jestem waszego spotkania!

– Czy pani zna bliżej pannę Olę? – przecinał dosyć ostro tę sprawę.

– Ach, jak ona ślicznie dziś wygląda!

– Westalicznie – mruknął pod wąsem, nie spodziewając się wcale, że wywoła tym to zadrganie dziwnego uśmieszku wokół ust pani.

„Więc i tu wiadomo! – mówił do siebie. – Zresztą prawda: kobiety zawsze wszystko o sobie nawzajem wiedzą – powiadano mi dziś. I szeroko tolerują, o ile rzecz nie dochodzi do jawnego skandalu. A co ważniejsza, chłoną wszystko w indolencję<sup>17</sup> dusz.

---

<sup>17</sup> indolencja – nieudolność, niezdarność, bezradność; beczynność. [przypis

Jakie warstwy cynizmu układać się w nich muszą!”

W tym błędnym uśmiezku wokół dużych warg była gotowa pobłażliwość na wszystko, co jej powiedzieć zechce, a nawet pewne wezwanie. Zjawiało się to zawsze, ilekroć miała sposobność do krótkiej z nim rozmowy. „Hm! – pomyślał – więc tak?”

I częstował dalej tą tabaczką:

– Wyglądała rzeczywiście cudownie. Pan Tański musiał sobie nadzwyczajnie pochlebiać wyrzutami sumienia.

Krótki wyraz oburzenia wyparł przemożną siłą ów kaprys, wibrujący niepochwytnym uśmiezkiem wokół warg.

– Pochlebiać sobie wyrzutami sumienia! – pani załamała białe ręce: przecież to jest straszny cynizm!

I w tejże chwili nieco ciszej, z tymże uśmiezkiem koło ust:

– Więc pan Tański pochlebia sobie tylko wyrzutami? Może pan śmiało powiedzieć – mówiła wobec jego milczenia. – Uszu moich pan wprawdzie nie oszczędza...

Zbliżył się do nich jakiś brodaczek wysoki i nawiązywał rozmowę z panią. Pozostawił mu ją tedy i ustąpiwszy, rozglądał się dalej po gwarnym wokół ulu.

Od tego roju oderwana błąka się z dala miodna pszczoła – w miód marzeń rozkładowych na życie zasobna: młody muzyk o bezradnym niepokoju w oczach snuł się po kątach.

W drugim końcu sali bżyka gestami wśród kobiet postać kosmata i niespokojna, o ruchach niby roztargnionych, a

dopraszających się uwagi oczu kobiecych: bzyka jak bąk wśród kwiatów. Wreszcie spada na kwiat upatrzony. Oto lilia o wåtpliwym panieństwie w oczach, osóbką myjąca raz po raz kocią łapką swą czarną główkę, tak wdzięcznie, tak poduszkowo w ramionach pochyłoną, że gest ten o miłych horoskopach przywabił do niej żuka. Przysiadł i zapuścił ryj w kielich, czy miodu w nim jeszcze wiele: wszczął rozmowę o sztuce i literaturze, by przemycać w niej rzeczy śliskie. Zawisł kosmaty nad kielichem, wystawia różki, maca płaty, eterycznych olejków szuka. Rzuca powiedzenia, które byłyby sprośne, gdyby nie powaga przedmiotu: gdyby nie sztuka i literatura. Trysnął tedy łatwy miód i dla niego. Żuk kosmaty zawiesza się nad kielichem, sięga w najwstydlisze dno kwiatu i ssie wonne etery słów lubieżnych.

Młodzieniec flirtuje z panną.

Tuż obok małą i pulchną mężatkę o rozbieganym języku i niespokojnej nózce zdobywał obcesowo dziennikarz, eksploatując jej specyficznie wielkomięjską, erotyczną ciekawość do popularnych ludzi dnia. Pytała równocześnie o kilku; był najhojniejszy w informacjach, nie tracąc spokojnej nadziei, że wszystko skończy się na nim.

Oto pani o długiej twarzy i bursztynowych włosach wsunęła się w fotel jak w siedi<sup>18</sup> kamienną. Ramię od łokcia wsparło się na niskiej poręczy, zwiła opieszale ręka pani duża. Układem swych pełnych kształtów władna, zmysłami cicha,

---

<sup>18</sup> *sedia* (z wł.) – krzesło, siedzisko. [przypis edytorski]

spoczywa niedbałym gestem wyniosłości cielesnej jak rzymska matrona. Wsparły ramieniem o niską kolumnę, chylił się nad nią wielki brodacz i świeci szklami okularów. Rozповіда jądnym, jak ktoś ożywiony towarzystwem kobiety, mówi z tą przekonywającą mocą powściągliwego gestu, jak to czynią starsi, uduchowieni mężczyźni. Pani ledwie brwi ściągnie lub rozchyli usta; półsłówka rzuca, spokojem nęci. Pochlebia jej ta rozmowa, nie przeraża natarczywy raz po raz wybłysk okularów ani cierpkie od czasu do czasu uwagi rzucane pod adresem innych ludzi. Przyjezdnemu z Krakowa niejedno nie podoba się tutaj, a że wypowiada się to przy niej tak ostro, sprawia to właśnie siłą kontrastu. Wybacz mu tedy przelotne akcenty surowości czy też karcenia, rozumiejąc, że jest to przełamanie się głosu pod wrażeniem chwili, jak u młodzieniaszków dyszkancik koguci w chwilach, gdy im coś piersi rozpiera; starsze koguty pieją wtedy basowym podrywem godności. Więc tylko gdy chmurniał zanadto, zwracała ku niemu uprzejmiej głowę jasną na półtęku<sup>19</sup> szyi powolnym.

Wówczas milkł. Długimi muskularnymi palcami głąskał i grabił wielką brodę, a zezem oczu ponad szklami wpatrywał się w nią nieufnie. Po czym rozglądał się po obecnych, tu i ówdzie dłużej wzrok zatrzymał – wtedy gwałtowniej targał brodę.

I nagle pochylając się do niej:

– Pani – zaczął impetycznie, jakby ze środka swych myśli – wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty

---

<sup>19</sup> półtęk – łagodny łuk, wygięcie. [przypis edytorski]

zwracały się do mężczyzn z pytaniem: „Ileś waćpan harmat zdobył?” Jakże inne wiodą tu dziś gawędy!

Odpowiedziały mu jej brwi, wygięte nagle jak łuki. „Co to ma znaczyć?” – pytały. Wreszcie pochyliła się ku niemu bokiem przez poręcz i przeplatając powoli palce białych rąk: – A więc, ileż waćpan tych harmat zdobył, profesorze?

Szarpnął okulary otwartą dłonią. Nie po myśli była mu w tej chwili szermierka z kobiecym języczkiem.

– Pani! – wybuchnął po raz drugi – onego czasu przychodzili tu ludzie po kontakt czuciowy ze społecznością. Każdy nic własnej przędzy wplatał w tę tkaninę duchowego stylu czasów. Tu się rozplómiętały serca i umysły przy rozumie i wdzięku kobiet. Nawet lekkomyślność tych pań wzbogacała życie. Bywały bo wtedy namiętności i uczucia, które nawet kaprys kobiecych względów potrafiły ponieść w niespodziane zupełnie ujścia czynu i ducha.

Brwi pani ściągnęły się chmurnie, a spojrzenie spod oka pytało nieufnie: „Co tobie właściwie po głowie się snuje? Czy nie tamten: nieboszczyk?”

– Ha – mówiła po chwili, rozplatając ręce – żyjemy w czasach bardzo niearmatnich. A mężczyźni? Niech się pan przyjrzy ich dzisiejszym namiętnościom...

Urwała nagle. I, przeprosiwszy go niemo błędnym uśmiechem, powstała szybko z miejsca.

Bo oto z szelestem ogromnym, jakby wleczonej za sobą gałęzi, sunęła ode drzwi kobieta w srebrzystobiałym stroju, o włosach

jak miedź, cała od lśnień sukni i od brylantów na szyi jak od rosy połyskliwa. Gestem ramienia skrętnym podejmowała tren sukni z tyłu, nieco niżej stanu i niby łabędź nastroszony płynęła środkiem salonu, piersią i osadą bioder wypięta, kształtem litery S, łączącej dwie wysady nazbyt sowite i sobą jakby pyszne. Sukniami szumna, jakimś szalem czy też puchowym boa w barokowe arabeski obramiona, zwracała ku ludziom bardzo białą twarz i zimny na niej uśmiech, który jawił się i zamierał jak w automacie. Od nagiej piersi szedł wiew perfum mocnych.

Nieco zapóźniony wkraczał za śpiewaczką jej towarzyszy światowych tryumfów: chłop nieco przytegi, lecz doskonałym frakiem jak koń dobrze stoczony. Rozdawał swe szczęście w ukłonach, rozsiewał je w uśmiechach. Gdzie przeraźliwie lśniący gors jego koszuli ludziom w oczy zaświecił, tam ukłon, uśmiech i krótki rzut ubrylantowanej prawicy zdawał się mówić: „to ja!”, zaś zwrócona ku śpiewaczce dłoń lewa: „to my!”

Z lic kobiet co ładniejszych tryskała ciekawość na pierwszy widok śpiewaczki i jej sukni, lecz wnet potem odbiła się na nich jakby niechęć i osadzenie się nieufne. Starsze damy z ciekawością okrucieństwa szukały po sali Bolesława Zaremby, młodsze oglądały się za nim ze smętkiem w oczach, ogromnie w tej chwili kobiecych.

Lecz jego nie było już w salonie, przepadł gdzieś za drzwiami. Młodzież męska doświadczała tymczasem obiecującego dreszczyku poznania sławnej diwy. Gradem tedy posypały się wersje, plotki i świństwa, szeptane na ucho.

Profesor miał wrażenie, że z wejściem tych egzotycznych ptaków buchnęła na salę woń jakby z areny: zapach ostrych perfum pomieszany z powiewem od końskiego nawozu. I myślał, że temu panu w nienagannym fraku byłoby zupełnie do twarzy z eleganckim biczem w ręku.

Lecz oto widzieć musiał, jak pani domu, zwykle o tak wyniośle ociągającym się kroku, teraz oto pośpiesza nerwowo i, chwytając podaną szeroko dłoń sławnej diwy, zmniejsza się jakby w fałdach sukien, przykuca nieomal dygiem. Widzi nadto, że zwykle tak chłodno odbierająca hołdy otoczenia, miesza się najwyraźniej i chce jakby cofnąć swą rękę, gdy sławny śpiewak w sztywnym ukłonie podnosi ją niezgrabnie do wygolonych szczęk swoich.

Profesor targał brodę. Bo wśród tych tu kauczukowych kobiet, na których odciskało się każde zaciekawienie elastyczną przymilnością wdzięku, ta jedna wydała mu się z kręgosłupem i mającą w sobie jeszcze jakąś nikłą resztkę rasy, jakiegoś ładu w instynktach: w tym pogodnym bodaj spokoju wejrzenia i gestu, którymi schlebiała dotychczas wszystkim zmysłom jego.

„Zgnuśniała, zmieszczala Helena z Komierowskich baronowa Nieman!” – mruczał gniewnie w brodę.

Nie zauważył, jak tuż nad nim stanął długą postacią o łysej głowie *charmeur*<sup>20</sup> niewiast tutejszych: pan Horodyski. Na ostrych wąsikach i w oczach świdrujących wisiał już jakiś koncept o kobietach czy też sekret którejs z nich.

---

<sup>20</sup> *charmeur* (fr.) – uwodziciel a. zaklinacz. [przypis edytorski]

Jakoż wskazując na trzy postacie z dala, jął coś opowiadać o mamie i dwóch córeczkach, o krótkich sukienkach i lekarzu. „Tfu!” – przerwał mu w myślach profesor, nie siląc się nawet na zrozumienie, o co idzie. Omierzyły był dlań ten typ wielkowiejskich doświadczonych, a jeszcze wstrętniejsze to przeświadczenie, że one właśnie, kobiety po miastach, bywają wprost fascynowane przez takie typy.

„Grzyb – myślał, spojrzawszy po chwili na tę łysą głowę na długiej szyi. – Dostyc pajączyny gnuśności rozsnuwa się tu po kątach, aby z tej plechy nie miał wreszcie wyrosnąć właściwy plemnik cynizmu. A jest ich tu pono więcej: ilu zniszczonych i wytlonych w młodości bezambitnej, ile słabizny sentymentalnej, tyle purchawek zastoju, tyle grzybów z plemnią gatunkową jak one – we łbach! Bo ta szaruga brzydlivosti w słowach i myślach, zohydzająca nieomal oblicza ludzkie, wżera się przecie w niejedne oczy jak gęsta mgła, gotowa oślepić najniezawodniejsze w człowieku instynkty: zaszczute upiorami domniemanej życia brzydlivosti, egoizmy nieczynne a tęskliwe podlegają najłatwiej takiej właśnie sugestii. W ten sposób pleni się to lichy zastoju: od przegniłych ku najwrażliwszym”.

„Niech się pan przyjrzy namiętnościom dzisiejszym tych mężczyzn” – przypominały mu się jej słowa ostatnie.

„Tak! – dodawał w myślach – gdy fala energii powszechnych opada, kobietom przede wszystkim leniwieją dusze i zatrują się wyobraźnie próżne. Już nie ci, co «harmaty» zdobywali, królują w marzeniach, lecz egzystencje na atmosferę pokojów

najczulej wrażliwe – artyści; dokonywają im oni władz uczuciowych rozkładu lub też sami w tchnieniu dusz leniwych i wyobraźni zatrutych giną. To z Woydą nie było tylko egzaltacją uczuć zawiedzionych, lecz może głębszym sensem tego tu życia, jego koniecznością nieomal – tu sztuka sama zatrzuwa się dziś swą niegdyś podniętą romantyczną. Duch w kobietach z towarzystwa, szersze tchnienie ich wyobraźni i głębszy nurt marzycielstwa pozostanie pono na zawsze pogrzebaną legendą romantyzmu: kiedy to muzy sielskie, pełne szlachetnie stylowej pozy, pozwalały się ubóstwiać czarnym wieszczom, interesując się jednak bardziej harmat kolorowymi zdobywcami. Zepchnięte z koturnów romantycznych, rozsznurowane z katolicko-salonowego gorsetu empirowej mody, «równouprawnione» przede wszystkim w pogoni za dosytem, te biedne niewiasty jałowiejają po prostu z samego poczucia swojej dziś pospolitości. Taki ot grzyb wielkowiejski lub śpiewak przejezdny: oni to rozbudzają jeszcze ich ciekawość do życia, rozgrzewają wyobraźnię”.

Wśród wielkich czołobitności przystawiono tymczasem śpiewaka do fortepianu. Nad klawiaturą chylił się młody muzyk, znoszący z determinacją taką tu rolę oraz protekcyjną rękę na swoim ramieniu. Tylko gdy na nuty okiem rzucił, szarpnął się niechętnie i z tym większym impetem uderzył w pierwsze akordy. Śpiewak poprawiał mankiety, chrząkał. Ramiona zwiesił jak atleta, obłąkiem ku sobie, lekką nóżką kozła przed się wystąpił i – rozpromieniał.

Zaśmiały się ku niemu dziesiątki kobiecych oczu roziskrzonych ciekawością. Śpiewak chrząknął raz jeszcze, akordy władnym spojrzeniem przeciął, pierwszych nut czekał. Odął wreszcie grdykę indora, miechy podjął, łeb czarny na krótkiej szyi w tył chylił, wyrzucił ramię i uderzył jak w róg alpejski:

Niech ryczą! – niech ryczą! – niech ryczą!! —  
wzburzone fale...

Jeszcze rozedrgane dźwięki pulsowały w sali, gdy śpiewak już zęby radośnie szczyrzył, podziw zbierał. I ku oczekiwaniu wdzięcznie pochylony, oddawał echo z piersi zasobnej, rozsiewał je ludziom na zachwyty:

wzburzone fa-le...

Tak żywioły uśmiechem zwyciężywszy, szczyrzył zęby dalej.  
I ryczał za żywioły.

Gdy uciszono się wreszcie na żądanie bisów, gdy nawet pogwarki kobiet milknąć już poczęły, wiotka dama z wyrazem nudy na ustach rozszerzonych w dziób ptaka, chyląc powoli w stronę śpiewaka swój stan giętki i długą szyję, szepnęła prośbą smętną:

– *Chanson du Torero. Z Carmeny.*

On, widząc przepych perłowej kolii na tej szyi, kłaniał się z wielkim szacunkiem. I krótkim ruchem dłoni nakazał

odpowiedni akompaniament.

A gdy padły pierwsze nuty, chylił się wraz ku słuchaczom, twarz jak księżyc uśmiechnięty obracał za tłumem i szerokim kołem ubrylantowanej prawicy wodząc po gościach, uderzył w dzwonną pierś:

Il circo e pien di festa!

Il circo e pien di su, di giu!

Gli spettator perdon la testa...

– wpieszczało się aksamitnie w rozkosznym dla północnych kobiet polechtaniu niezrozumiałych słów włoskich.

Wywabiony śpiewem z dalszych pokojów stanął Bolesław Zaremba we framudze drzwi i wbił spojrzenie w podłogę. Powoli, jakby zmagając się ze sobą, uniósł głowę i zawiesił spojrzenie na niej. Zdziwiło go przede wszystkim mroźne tchnienie obcości, jakie owiało go w tej chwili. I równocześnie zastanowił rudy jej włos. „Jeszcze bardziej się przebarwił – myślał z zastanawiającą dla samego siebie apatią. – I przybyło tych włosów dziwnie na te spiętrzenia pokrętne, oploty i węże skłębione. Chociaż przy ogromnej bieli twarzy i marmurowym chłodzie piersi obnażonych niemal po brodawki niespokojna pokrętność tych włosów oraz ich barwa gorąca robią dobrą plamę – myślał patrząc zimno jak na dziw obcy – przy tych szatach zwłaszcza o srebrzystej bieli i łuskowych refleksach oraz białych rękawiczkach aż po pachy”.

Gestem królującej w salonie diwy bokiem o oparcie rzucona,

słała sobie podnóże z spiętrzonych fałd trenu, bardziej jeszcze połyskliwych od sukni. Pochylona ku śpiewakowi, skręcała się w sobie jak łodyga słonecznika, prężąc w tym przegięciu pychę i chłód nagiej piersi i wytłaczając niemal w przeciwną stronę obciśnięte sukniami biodra. Puchowe boa opadające z ramion ujmowało ją w białe ramy wirowych, niespokojnych skrętów, węzowym wychyleniem gięło się sztucznie i ramię wsparte na łokciu. I tym kształtem rysowała się cała: w kapryśnych esach, zygzakach, arabeskach – w barokowej fanfarze wielkostołecznego szychu.

I biła od tej kobiety fanfarą owa melodia wartkiego po stolicach życia, gdy roziskrzą się światła wieczorne i roztworzą najjaskrawsze kramy podniet nerwowych dla tłumów, gdy sztucznych świateł podnieta gorączkowa zagra jakby do ataku wszystkim pulsom woli w tym podwieczornym niepokoju wibrującego wprost czasu, gdy bruki same niosą elastycznymi krokami<sup>21</sup> w świetliste chromy tłumnej żądy użycia.

Oto widzi wspomnieniem te wylegające na podwieczerek<sup>22</sup> ciżby. „Circenses<sup>23</sup>!” – grzmi w tym gwarze i rozhuku wieczornym. Wałą tłumy z burzą tej żądy tajemnej, co chleb życia na chleb wyobraźni mieniać im każe, te same nieomal, co

---

<sup>21</sup> *kroki* – dziś popr. forma N. lm: krokami. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *podwieczerek* (daw.) – późne popołudnie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *circenses* (łac. *circensis*: cyrkowy, związany z igrzyskami) – igrzysk; fragment powiedzenia poety rzymskiego Juwenalisa, o prostych ludziach, którzy chcą od życia tylko chleba i igrzysk, *panem et circenses*. [przypis edytorski]

ongi za widowiska sprzedawały imperatorom wolności dusze, a dziewczkę cyrkową wносиły na tron Justynianowy. „Teodora!” – ryczał taki sam tłum może jak ten, który pcha się oto w natłokach po marmurowych schodach świetlistego pałacu, a szum swój głuchy przycisza nagle w szepty, rozstępuje się na boki; gdyż oto po marmuru stopniach, ścieżką purpurowego dywanu wstępuje lekką stopą, szelestna i wonna, w puchach zarzutki jak w piórach ptaka białego, czubem włosów miedzianych i lodowatą dla tłumów twarzą widna...

Ona!

Zaś dołem, w cieniu teatru – te z wieczornego przypływu tłumów na ulicach, z niezliczonych gorączkowych twarzy na schodach pałacu wyłaniające się w półmroku sali postacie spokojne jak robaki w burzy: te dżentelmeny z mdłego Cosmopolis, te fraki i smokingi bezlicowe, którym zwierciadło twarzy chyba nie powtórzy; wejrzenia poprawno nijakie, nienagannie żadne; ten stołeczny patrycjat użycia, te bezkręgowce miękkie, których najburzliwsza fala miękko niesie, te czarne robaki, żerujące z flegmą w barwnych burzach namiętności tłumnych.

„*Ah – bravo Toro! urla la gente...*” – wpieszczał się tymczasem w salonie głos śpiewaka bogaczom przymilny.

Tak było i wówczas! Taki sam głos, o tymże brzmieniu i barwie rozlegał się był wtedy na scenie, gdy zatopiony w morzu głów ludzkich w samym środku frakowych dżentelmenów kurczył się i jeżył na fotelu w swej kurtce aksamitnej – Pierrot

chyba? – myślały monokle. Oto wtula głowę w ramiona, jak sowa w pióra, ręce wbił po łokcie w kieszenie szerokich rajtuzów, a białą twarzą i oczami wilka spogląda na nią, jak w kostiumie Cyganki czy też Colombiny jarmarcznej przemyka się oto ptakiem nieuchwytnym przed pożądaniami tysięcy – śmiechem i szydem<sup>24</sup> śpiewająca.

I zdawało się monoklom, że nad krzesła wyrzuci się ramionami Pierrot i krzyknie temu rywalowi o wejrzeniu tysięcy:

„A jednak moja! moja! moja!”

W stonowanym blasku marmurowej hali, gdzie brązowe świeczniki rozlewały czerwone światła, jej postać zatulona w białych puchach zarzutki, włosów miedzianych błysk, twarzy sztuczne złodowacenie przed bliskimi oczami i uśmiech prawie bolesny, gdy jej podawał rękę do powozu. Drzwi ledwo słyszne<sup>25</sup> zapadnięcie w zamku, cwałem a lekko ponoszona po brukach kareta.

„A jednak moja! moja! moja!”

Oddechy obojga gorące, w usta sobie przerzucane, warga o wargę. Przed nimi koni lekki cwał, za nimi szum odpływu głuchy: wezbrane morze tłumnej namiętności wraca w swe łożyska, bujny tłum rozplywa się po ulicach, rozszczepia w gnuśne jednostki.

„Patrzy!” – krzyknęło w nim jakby na alarm, gdy diwa, poruszywszy się nieco na krześle, teraz dopiero spojrzała po raz

---

<sup>24</sup> *szyd* (daw.) – szyderstwo, drwina. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *słyszny* – dziś: słyszalny. [przypis edytorski]

pierwszy w jego stronę.

Szarpnął się w tył i wywinął za portierę do sąsiedniego pokoju, omal nie nastąpiwszy na czarną kukłę Murzyna, wyciągającą ku niemu swą tacę mosiężną, a na niej dzban kryształowy i czarę: te same, które onego wieczora podawał było<sup>26</sup> Woydzie.

Pamięta! Burza egzotycznej po świecie namiętności wyrzuciła go w życie rodzime jak rybę na piachy – w onym właśnie czasie, gdy tu Woyda skończył ze sobą.

Pamięta! Karawan brzydki aż do załkania kołatał i zgrzytał chwiejnymi kołami pod zakasaną spódnicą żałobnego wozu, pluskał po kałużach, kolebał trupem w pudle i podążał głupkowskim truchcikiem indolencji w grząskie piachy podmiejskie. Chowano marzyciela. Ta smętna karykatura rodzimego pogwałcenia wrażała mu w mózg jakby brunatnożółtą barwę rdzy, co przeżera, zda się, tę nędzę okolną i rzuca się nieomal na ludzkie oblicza, stępnia nagle marudą bezduszną, która jest na tych twarzach beznadziejnym smutkiem apatii. Przez te nędze, halizny<sup>27</sup> i piachy, pod spojrzeniem ludzi ponurych wiedzie droga do czyścica... chyba – myślał – w jakiś buddyjski koszmar dzisiejszego świata. I wlokąc się tak za trumną z owstrętnionymi ustami<sup>28</sup>, spostrzegał ze zdumieniem, że takich jak on jest tu więcej: ludzi porozumiewających się

---

<sup>26</sup> *podawał było* – daw. konstrukcja, czas zaprzeszyły o znaczeniu: dawniej (kiedyś, wcześniej) podawał. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *halizna* – tu: pustkowie, ziemia jałowa. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *usty* – dziś popr. forma N.: ustami. [przypis edytorski]

niero wyrazem niesmaku i pogardy dla wszystkiego, co ich otacza, dusz czyścicowych, które zaprzepaściły w sobie impulsy do życia. Jak ten oto, którego chowają! I zdawało mu się, że temu samobójcy z miłości zaśpiewają jego żałobnicy to requiem krucze: „Ohyda fałszu i obłudy, pakość<sup>29</sup> jadowita porasta dziś te niwy, na których ongi młodsi znajdowali zachwycenie i poryw, starsi – wolę i dokonanie. Zatrute jest źródło ochoty wszelkiej! Nie warto niczego chcieć! Nie warto ku niczemu marzeniem nawet wybiegać! Zaś ta nędza, ten smęt, to ponure niedołęstwo naokół: wszystko to pozostać widocznie tak musi”.

„Niejedzenie to sercu rezultat – myślał teraz – i niejedzenie życiu okólnemu zysk: to moje spalanie się w żądzy egzotycznej i to ich wytlenie w uczuciach rodzimego zastoju?”

I nagle stanęła mu przed oczami ta mała – Ola: to ciche marzycielstwo dziewczyny, zakażone gnuśnością okólną; jej drobne, zimne ciało, spalone przez gnuśnych żarem własnej zmyślonej duszy; jej słowa wreszcie, niby tego zagwienienia się wnętrznego dymy fatalne: „brunatne, rude, rdzawe, ociekłe, błotne, zwiędłe, zmurszałe...”

Otrząsł się całym ciałem.

A gdy oczy podniósł, wzdrygnąć się musiał po raz drugi. Spozierały na niego ślepie białe tej wielkiej kukły Murzyna, wyciągającej w swych łapach goryla tacę mosiężną, a w niej dzban kryształowy i lodową niby czarę: te same, które onego wieczora podawał było Woydzie.

---

<sup>29</sup> pakość (daw.) – obmierźłość, ohyda. [przypis edytorski]

Bydłęcą powagą nieodpartej jakby siły spoglądał na niego stróż zastoju, jak sam czas niemy, uczuć i namiętności rozkładowych świadek ponury, eunuch czarny z ślepiami jak przerażenie.

Ocknął go z tego otępienia głos śpiewaka donośny:

Perche la festa e del valore,  
Perche la festa e del va-lor!!

„O czymże to on śpiewa? – zamyślił się nagle. – O «valore»: dzielności! że jej to świętem radosnym jest miłość – tam na świecie: gdzie krew z żył gorąca i w ramiona skore niby żelazo roztopione wpływa, gdzie każda namiętność czyni się sama życia potęgą zwycięską”.

Andiam! – Andiam in guardia! – Andiam!  
Andiam! – Ah...

Śpiew wzbijał się wciąż! – jak gdy ostatni na wiosnę słowik w kłask ostatni uderzy, gardłem czas jaki przebiera, nutę wyciągnie i zapamięta się śpiewakiem: za echem własnym śląc głos już nie swój – w te gwiazdy po nocy migające; by tam aż, w gwiazd obliczu, przełamać głos podniebny w krzyk żądzы najniecierpliwszy!...

Cieliste kobiety z dobrobytowego opasu, panie o miękkich spojrzeniach i pulchnych policzkach, luksusowe małżonki siedzące zawsze z apatycznym ruchem kolan niedomkniętych

i te wiotkie, z cierpkim grymasem nudy na licu zopierzałym – wszystkie te kobiety spięła iskra życia w jeden łańcuch oczekiwania, przez który przebiegał niespodziany prąd namiętności egzotycznej. I uderzył w nie ten prąd raz w raz! raz w raz! łechcąc, drażniąc, podrywając nerwy w ciałach tłustych aż do zachwyтлиwego bólu.

A gdy się śpiew skończył, oczywista na nucie efektu wysokiej, rozdartej, samego śpiewaka podejmującej na palce, wówczas stał się z kobietami szął.

W długim grzmocie oklasków szelest sukien kobiecych podrywny, w zaszum mgły zerwanego stada kuropatw, skłębienie się szelestne barwnego wieńca kobiet wokół śpiewaka, gwarne rozkołysanie złotych i ciemnych główek, ramion w białych rękawiczkach wyrzucanie się w górę i kwiatów pęki przez nie miotane.

– Och, jakież to artysta! – wzdychały zasapane na krzesłach matrony.

Od strony gabinetu poczęły wchodzić do sąsiedniego pokoju grupy starszych panów w gęstej dymnicy od cygar i w basowym pomruku rozmów.

Zjawił się i gospodarz: gorzko uprzejmy, grzecznie wyniosły, ubrany z wyszukaną sztywnością. Czarny i tłusty włos okalający łysinę na ciemieniu miał coś z nadmiernego połysku i martwoty peruki, zresztą i niepokalany gors koszuli był trupiego blasku: wszystko jakby martwiało na tym człowieku, niby

na uroczyść dworską żałoby. Najsztynniejsze wszakże były szeroko rozwidlone szpakowate baki, nadające obgolonym wargom w tej jamie włosów coś z rybiego wyrazu. Pan powrócił dopiero co z Petersburga, miał dużo do powiedzenia i jeszcze więcej do przemilczenia: świeżym kontaktem ze stołecznymi sferami wzbudzał większy niż kiedykolwiek szacunek wśród swoich gości.

Teraz oto prowadził pod ramię wielkiego jak piec chłopca o podgolonej jasnej czuprynie i ostro rozstawionych wąsach. Profesorowi powiedziano, że jest to podobno korespondent do gazet berlińskich i że na opinii europejskiej zależy nam wszak bardzo. Suchy i sztywny wygląd gościa wywołał na pół ironiczne zaciekawienie gości do koszarowego *fashion*. Jego bardzo lakoniczne odpowiedzi wzbudzały jednak poważanie dla prasy europejskiej, zaś ostre i krótkie gesty znalazły już naśladowców.

Koło gospodarza i berlińskiego gościa krystalizowała się tedy powaga. Ten stateczny korowód panów, zahaczywszy o profesora z Krakowa, stał się jeszcze bardziej poważny i surowy. W milczeniu gości oraz w ich chrzączeniach<sup>30</sup> czuć było chwilę oczekiwania: wiadomo było z doświadczenia, że zebrania w tym domu mają zawsze swoje *clou*<sup>31</sup> sprawy publicznej.

Z salonu biła tymczasem pełną falą muzyka. Gospodarz z lekkim zniecierpliwieniem zamykał cicho wielkie skrzydła i

---

<sup>30</sup> *chrzącanie* – dziś popr.: chrząkanie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *clou* (fr.) – gwóźdź; przen.: główna atrakcja. [przypis edytorski]

zasuwał portierę, ktoś usłużny uczynił to i przy drugich drzwiach. Półmrok ogarnął panów: rozplómięły się w nim zarzewia cygar, rzucając ostre, czerwone błyski i głębokie cienie na twarze starcze. Lecz wnet zapłonęła lampa u góry, ścieląc po twarzach zimniejsze półświatło i łagodniejsze cienie: to lokaj zgasił świecę na kominku i rozniecił elektryczność, by oddalić się wnet krokiem bezszelestnym i tajemniczym. Panowie chrząkali coraz twardziej, na nieomylnie świadectwo, że niejeden z nich się czuł niezręcznie; ten i ów doświadczał nawet interesującego dreszczu spiskowca.

Wśród wysztywnionych białych gorsów i dymiących cygar panowała skrzepla, sucha atmosfera wysilonej powagi po tak swobodnych rozmowach przy preferansie. Ta nakazowość chwili schlebiała najwidoczniej wszystkim instynktom gospodarza, bo uznawszy wreszcie moment za stosowny, powstał i, unikając najstaranniej wszystkiego, co by mogło trącić stylem i okrasą, wygłosił w starannie oglądane paznokcie swej ręki, że obecne kłopoty rządowe w czasie, kto wie, czy nie przedwojennym, czynią go bardziej pokojowym na wewnątrz. I tak, na przykład, w rozmowie z pewnym „miarodajnym czynnikiem” wyniósł gospodarz wrażenie, że pewna finansowa inicjatywa społeczna w zakresie użytku publicznego, przy umiejętnym przepchaniu jej przez niższe dykasterie, nie natrafiłaby na zbyt silny opór u góry. Miano wprowadzić na myśli herbaciarnie lub przytułki, lecz przy umiejętnej formalistyce i zręcznym argumentowaniu interesem rękodziel, eksportu, zdolności można nakierować pozwolenie

na muzeum sztuk pięknych, o którym była już tylokrotnie mowa w gronie panów. Wypadałoby również skorzystać z jakiejś okoliczności galówkowej, okazji czy egidy, dla których mają tam smak.

Po tym obwieszczeniu wszczął się gwar bezładnej rozmowy. Uwagę wszystkich pociągali dwaj panowie: stary o czerwonej twarzy i siwych wąsiskach oraz pan smukły o długiej pogarbionej szyi, maskujący zakłopotanie niezmierną dla wszystkich uprzejmością. Wiadomo było, że stary jegomość, bogacz ukraiński, „pragnie coś zrobić” i że hrabia zamierza zerwać z bardzo przewlekłą i nieco płochą młodością w sposób równie obywatelski, jak hojny. Kilku publicystów miało za to pomysły i ambicję. Stała tedy rada tajna przy zachowaniu zwykłych ostrożności, to jest pod osłoną hucznego przyjęcia u gospodarza.

Oto wystąpił pierwszy publicysta z wielkim rękopisem w dłoni.

– Panowie – zaczął z szerokim gestem – pierwszą troską cywilizowanych narodów, powiada mądrość...

Gospodarz ujął go bardzo delikatnie za łokieć i z cierpką uprzejmością tłumaczył, że nie wystarczy czasu na wysłuchanie kilku, interesujących skądinąd, prelekcji. Rozległ się pomruk aprobaty.

– W takim razie wycofuję się z moim referatem! – obwieścił wyzywająco rzecz przez innych już postanowioną.

– Wielmożni panowie – odezwał się z kolei głos ochryply

i, wyłamując z trzaskiem palce zakłopotanych dłoni, wystąpił uwędzony w dymie tytoniowym niezmiernie długi i zaschły pod żółtą skórą jegomość. – Prawdziwie wielmożni panowie! bo fortuna w rzeczach publicznych dobrze użyta całemu narodowi *adjuvat*<sup>32</sup>, a jego dobrodziejom chwały i godności przysparza. Gdy głód w Polsce panował, otwierały się królewskie i pańskie śpichrze. Otwórzcie duchowe śpichrze, dobrodziejcie nasi! Ten głód ciężką klęską nam grozi, wysiewają się już tylko chwasty i co jałowsze ziarna. Użyczcie książek! Dosypcie grosza! – błagał i trząskając palcami suchotniczy pan. – Załóżcie śpichrz pod zasiewy nowe: stwórzcie bibliotekę!...

– A niech wam tak Bóg fortunę podwoi oraz w tym i przyszłym życiu nagrodzi, amen! – zakończył ktoś półgłębkiem i pociągnął suchotniczego pana za rękaw tak silnie, że posadził go z impetem obok siebie. – Jak pan może w ten sposób!

– Ależ drogi i najmilszy! – Suchotniczy pan pochwycił sąsiada za obie dłonie, kierując w jego stronę impet swego wzburzenia. – Pan, który bywałeś w Paryżu!... Pan, który także nauką się zajmujesz!...

Gdy nagle zakasłał ciężko i musiał wyjść z pokoju.

– Proś ty ich, młody panie! – wykasłał w chustkę na pożegnanie. – Proś!

Jakoż młody pan głąskał czas jakiś swą kozią bródkę, układając w myślach przemowę, wreszcie osadził nerwowo binokle i poprosił o głos:

---

<sup>32</sup> *adjuvat* (łac. *adiuvo, adiuvere*) – pomaga, wspiera. [przypis edytorski]

– Tradycyjne to wprowadzie kolumny polskiej oświaty: pańska i mieszczańska łaska, a młodzież nasza od wieków nie wychodzi z żebraczej roli żaka z misą na progach cudzych kuchen...

Kilku starszych i mniej ruchliwych panów zadowolilo się wypuszczeniem gęstych kłębow cygarowego dymu i wzgardliwym okrzykiem: „Ba! ba! ba!” Wszakże z ust bardziej krewkich padały pod nosem i obelżywe słowa.

– Także owoc pańskiej łaski w czasach demokratycznych! – syknął w kącie starszy głos. – Pan Karski z Wójtówki posyłał „to” do szkół. Ekonomem u pana Karskiego był ojciec oratora.

Gdy niespodzianie wyskoczył na środek student i opinając szczupłe piersi w mundurek:

– W imieniu! – obwieszczał – uczącej się młodzieży! – okrzykiwał – protestuję! – roznamiętniał się nerwowo.

– A idź pan do stu par diabłów! – zniecierpliwil się ostatecznie starczy głos.

Gospodarz ruchem desperackim obu dłoni głaskał tłusty włos na skroniach. Warcholi i smarkacze zburzyli na samym początku całą powagę zgromadzenia. „To są sympatie żony!” – myślał z goryczą.

Na domiar od strony salonu przemycał się raz w raz ktoś obcy. Oto wpadł młodzieniec z ostrym wąsikiem, krótkowzrocznymi oczyma oraz nosem człowieka najwidoczniej zawsze krzętneho; wpadł, rozejrzał się, powąchał i w pas się kłaniał.

– Jestem przyrodnikiem! – mówił z ukłonem – asystentem stacji biologicznej na Białym Morzu. Korzystając z bytności

w kraju i tak szczęśliwego trafu narady szanownych panów, przybiegłem umyślnie, by rzucić myśl, projekt, który tylokrotnie zaprzętał na obczyźnie moją ambicję Polaka. Od czasu gdy stopa polska dotknęła lodów podbiegunowych (mam na myśli pana Arctowskiego), projekt naszej ekspedycji w arktyczne regiony stał się marzeniem przyrodnika i patrioty. Okręt ochrzciliśmy czcigodnym imieniem Jana z Kolna, w pamięć tego, który przed Kolumbem dopłynął pono do brzegów Ameryki. Nie wątpię, że znaleźliby się u nas ludzie hojni i nauce w duszy oddani, których fascynować musi myśl, aby sztandar duchowy naszej stolicy zatknąć na biegunie kuli ziemskiej.

Czerwony wąsał z Ukrainy wypuścił z ust cygaro i otrzepywał impetycznie płonące jeszcze popioły na swoich i cudzych kolanach.

– Bój się pan Boga!

– Panowie! panowie? – pisał cienko i wymachiwał rękami jakiś frasobliwie niespokojny osobnik. – Toż dyskusja się rozprasza! Proszę o głos w sprawie formalnej.

I zwracając się do korespondenta niemieckiego:

– Nie mamy wyrobienia parlamentarnego.

– *Allerdings. Ja. Leider.*<sup>33</sup>

Te twarde, z berlińska odbębnione słowa stropiły zupełnie nieświadomie wielomówny temperament zebrania. Nastąpiła cisza.

– To-to! – podrzuciła się z basowym pomrukiem otyła osoba o

---

<sup>33</sup> *Allerdings. Ja. Leider.* (niem.) – oczywiście, tak, niestety. [przypis edytorski]

rozlanych szeroko na kanapie brutalnie tłustych udach. – Muzea! ... A tam jeszcze: i sztuki piękne!... W porę ktoś skoczył w arktyczne aż regiony. To są, panie, arktyczne regiony na dziś: te wasze muzea i sztuki piękne. I równo mi z tymi sztandarami na biegunach. Śmiech i wstyd! Ot, zrób który ekspedycję na powiat. popatrz, powąchaj! Sprawa krajowa ma być powszechną... Chyba! Nie?... Ot, któryś z sąsiadów już dobrze mówi: „a to drogi! a to szosy! – a to sploty! – a to melioracje! – a to kredyt rolny!”

Wyliczając to wszystko, trzymał sztywno do góry palec wskazujący, a raczej kusy pierś<sup>34</sup> z ciężkim sygnetem herbowym. – Ot, wam dobro publiczne! Jest nad czym głowę suszyć i debaty wszczynać. A tamto? – zamyślił się i, opuszczając powoli wyroczny palec, kończył tonem minorowym: – Dobrze, serdeczne słyszano tu mowy gorącej młodzieży. Szanuję młodzież i ja. Ale gdzie męże do rady?

Podrzuciwszy ciężkie ciało na dłoniach, dał nura w głąb kanapy, wystawiając na salę podeszwy krótkich nóg. W tej pozycji machnął wzgardliwie ręką:

– Człowiekowi nieraz za swój naród „wstydno”!

I tłusty pan przytłoczył sobą całą sprawę. Jak pierzyna wielka stłumił sobą gwary. Tylko na podtrzymanie jego autorytetu rozlegały się w ciszy już twarde i pewne siebie, wyzywające wprost chrząkania panów ze wsi. Milczano.

---

<sup>34</sup> *pierś* (daw.) – palec (rdzeń zachował się w słowie *pierścień*, oznaczającym to, co się na palec zakłada). [przypis edytorski]

Gospodarz zwiesił z niesmakiem rybią wargę.

Gdy wąsał czerwony, siedzący obok tłustego pana, począł opozycyjnie trzeć grzbietem o kanapę. Jego autorytet nababa, mający ostatecznie rozstrzygnąć wszystko, czynił ciszę napiętą. Stary przede wszystkim splunął gromko w kraciatą chustkę, chrząknął, wreszcie jął mówić:

– Krowy są – zaczął od razu od najnieudelikatniejszej aluzji do siebie, spoglądając zarazem i na hrabiego. – I dójek nie brak. Boję się tylko, że nas w dziurawe beczki wydoić pragną: każda tu sprawa głodna, każde ciele przepaściste. Głodnyś – sadowią cię przed misą i mówią: „Weź, bracie, ale jedną tylko krupkę, jedynienką”. Co ja mówię! – kup sobie krupkę, powiadają, ale jedną, nie śmiej więcej! Myślę, gąb głodnych dziesięć posadz z takim nakazem u misy, każda inną krupkę wybierze: ta moja, pomyśli, najtłuściejsza. Zgody między nami, najmilejsi moi, nie będzie. I nie będzie nigdy zgody między nami o te krupki. Nad siły to i możliwości ludzkie. Gdyby na rady jawne przyszło, o krupki, najmilejsi, sprzeczałibyśmy się wiek cały. Najswarliwszym narodem na świecie uczynią.

Za czym wyjął z kieszeni kraciatą chustę, strzepnął szeroko, ujął pośrodku garścią i ukrył w nią nos wielki. I trąbiąc przeraźliwie długo, przemagał w tym ukryciu twarzy swe wzburzenie wobec tak uporczywego wpatwienia się ludzi. Wreszcie wychylił twarz czerwoną zza chusty i podgarnął chmurnie wąsa. A że ludzie wciąż jeszcze oczu z niego nie spuszczały, jakby oczekując dalszego ciągu, więc się stary

ofuknął:

– No, gadaj, który z panów wiesz lepiej!

Druga krowa, którą wydoić miano, stała tymczasem cierpliwie na uboczu: hrabia o długiej szyi darzył uprzejmym baczeniem każdego, kto tylko przemówił. Gospodarz, cierpki i niezadowolony z obrotu dysputy, prosił tymczasem panów o powrót do gabinetu: tam miał nadzieję ująć rzecz w swoje dłonie; tu naprzykrzała się wciąż muzyka i raz po raz wchodził z salonu ktoś niepożądany.

Wszakże narada panów rozbijała się już w liczne gawędy grup.

Profesora zatrzymał suchotniczy pan, który tymczasem powrócił był do grona. Nazwał się Downar, Antoni Downar, podkreślał imię, jako niezmiernie ważne widocznie, i schwyciwszy jego rękę, ścisnął mu ją gestem ponurego braterstwa – jak mason. Przed laty kilkunastu miał nawet zaszczyt przesłać mu swoją książkę. „Aha, także uczone!” – tłumaczył sobie profesor to dziwne powitanie.

Pan Downar westchnął:

– U nas, panie...

I splatając kościste palce o martwych, białych paznokciach, rzeźił monotownie o tym, jak to swego czasu sprzedał za ledwie kilka egzemplarzy swej książki, a wydał własnym nakładem. Ma już od lat sześciu gotowe dzieło *O czytelnictwie w Anglii*. W ostatnich czasach dopiero zajęli się wreszcie wydawnictwem tamci ludzie zacni, mówił, wskazując na wychodzących panów. Gdy dzieło ukaże się na półkach, nie omieszka przesłać je

profesorowi.

Panowie uścisnęli sobie ręce.

– Głównie brak książek, profesorze! Bo zresztą robimy i my tutaj, co się da. Wydajemy encyklopedie...

– Jakież to? – przerwał profesor.

– Niezliczone i nieskończone – wtrącił z ubocza jakiś głos.

– Niech pan tak nie mówi – prosił łagodnie pan Downar, przeginając z trzaskiem długie palce. – Jest w tym tyle rzetelnej „pracy” w nieprzespanych nocach, po „czynności” biurowej. Niech pan powie o tym, komu należy – pan żyje z dziennikarzami... Właśnie dwaj moi niegdyś uczniowie pragną prosić pana o poradę – zwrócił się tymże żalonym głosem do profesora.

„Mikulski” – „Bogdanowicz” – przedstawiło się wraz dwóch młodzieńców. Z beładnego nieco wstępu dowiedział się profesor przede wszystkim, że młodzi panowie zdążyli już wydeptać bruki i omieszkać poddasza wszystkich stolic. Z nieustannych zaś komentarzy pana Downara i kłótliwych opowieści młodych wyrobił sobie rychło jaki taki obraz ich życia: oto młodzi panowie za swe ubóstwo, lichą schludność odzienia i nieukładność wschodnią lekceważeni wszędzie przez swych „burżuazyjnych” po Europie kolegów, napastowani brutalnie przez obcą policję, wycierali ławy po aulach wszystkich cudzoziemskich i pogardliwie wobec nich obojętnych duchowych „mater<sup>35</sup>”. Kryjąc się zaś ze swym niedostatkiem po

---

<sup>35</sup> *mater* – od: *Alma Mater* (łac., dosł. matka karmicielka); termin ten stanowi

stołecznych gettach wszelkiej biedy, nasiąkali – jak przypuszczał – nie tyle kulturą, ile krzywdą i fermentem nędzarzy całego świata. W obecnej prośbie o doradę szło im o „studia społeczne” dla osłodzenia sobie omierzłej „techniki”, której uczą się dla chleba.

– Panie! – akompaniował im pan Downar westchnieniem – u nas trzeba być bohaterem, żeby „uprawiać pole nauki” – wołał, nie zapominając w swym wzburzeniu i o obowiązkowej kwiecistości wyrażenia, skoro mowa o nauce.

– Nauki? – powtórzył profesor mrukliwie, patrząc z ponurą niechęcią na „encyklopedystę” pana Downara za tych dwóch jego adeptów.

Thusty szlachcic z Litwy baczył na to wszystko z daleka jednym okiem i uchem, wreszcie rozkiwał głowę, zasapał złośliwie i zanucił niespodzianie na nutę *Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę*:

– Tysiąc zżydziałych włóczy się po świecie!...

– Panie! – nastąpił na niego pan Downar, z impetycznym trzaskiem swych poplątanych jakoś palców – panie, tą drogą dochodzi do nas dziś trzy czwarte niezarobkowej wiedzy. Tą drogą dojdzie kiedyś...

Zakasłał i nie mógł mówić dalej. Hrabiego zagadywała tymczasem zręcznie i zatrzymywała przed obrazami na ścianach osoba duchowna: ksiądz wielkomiński w wytwornie skrojonej

sutannie; w pasie cienki, w uśmiechu słodki jak stara panna.

– Ach, z tego muzeum zwykłym trybem nic nie będzie – machnął ręką na wychodzących panów. – Ale kiedy mowa o sprawach publicznych, pozwoli sobie hrabia przedstawić kilka ziaren, nie chcę powiedzieć lichych, lecz drobnych, skromnych ziarenek, rzucanych przecie z wiarą w naszą ubożuchną glebę.

– „Dzwonek Loretański” – odczytywał hrabia grzecznie wetkniętą do rąk gazetkę – „pismo dla sług”.

A że nie przemawiano do niego, wyczytując wciąż z oczu wrażenie, więc obracał gazetkę w palcach, przewrócił ją do góry nogami. – O, bez wątpienia... – rzekł nieokreślenie i z niezmiernym szacunkiem zwracał księdzu te pobożnie zadrukowane ćwiartki papieru.

Wówczas ksiądz jał mówić o poniechanym biednym ludzie, o fermentach w nim współczesnych, nieznajdujących przeciwwagi w duchu obywatelskim, który odgraniczył się od maluczkiej wyniosłością. A wszak służba i lokajstwo ma u nas tradycję pierwszego związku ludowego (niestety jakobińskiego!) za czasów Sejmu Wielkiego. Obyż teraz było inaczej! A wszak każdemu z nas zależeć musi przede wszystkim na usposobieniu i przychylności tej służby, która go bezpośrednio otacza. Wszakże to pisemko, podtrzymywane jedynie wdowim groszem ludzi najbiedniejszych, będzie musiało upaść dla braku środków. Więc zanim księdzu ręce nie opadną, choć z przykrością, choć przemożeniem się, pomny na niezachwianą cierpliwość błogosławionej pamięci księdza Boduena...

Skończyło się rychło na tym, że w rękach hrabiego znalazła się książeczka czekowa, a jedna jej kartka przed opuszczonymi oczyma księdza.

– Tylko – mówił hrabia nieco zakłopotany – prosiłbym – (o dyskrecję – chciał być powiedzieć) – o bezimienność – poprawił się rychło. – Bo właściwie co ja... ze służącymi? – rozmyślał głośno już dla siebie. – To jest nawet trochę *rigolo*<sup>36</sup>! Zresztą nie mogę, uważa ksiądz, ze względu na mego Józefa, który jest widocznie innych przekonań, bo przemyca mi nieustannie jakieś odezwy między listami.

– Hm! Jakież to przekonania i odezwy? – zaniepokoił się surowo ksiądz.

– O, nie wiem. Zresztą, choć młody, robi najpoprawniej starego sługę i analfabetę. Więc mi to jest obojętne.

Tak to hrabia, orientując się nieco późno, dolewał sporo żółci do zbyt pochopnego daru. Poczul to ksiądz i starał się czym prędzej zamknąć sprawę, dziękując za dar tak królewski, który stawia pismo na trwałych i szerokich podstawach. W następnym numerze „Dzwonka” znajdzie się najwdzięczniejsze pokwitowanie...

A wobec przerażonych oczu hrabiego łagodził czym prędzej:

– Niby dla uczczenia pamięci... na zlecenie nieboszczki hrabiny matki.

– Właściwie... – (hrabia stawał się nerwowy). – To już lepiej na imię nieboszczki ciotki. O, tak! świętej pamięci Moniki.

---

<sup>36</sup> *rigolo* (fr.) – zabawne; osobliwe. [przypis edytorski]

– Nasz związek nie omieszka w dniu świętej patronki prosić na mszę zaduszną – rzekł ksiądz, chyląc głowę.

I drobnym krokiem ruszył ku drzwiom gabinetu. Tknięty po drodze jakby inną myślą, odbił się wzniesionymi nieco dłońmi o warstwę powietrza, wejrzał ku górze, złośliwy uśmiech szerokich ust zwrócił na drzwi, zza których dolatywał gwar męski – i cofnął się.

– Raz jeszcze dziękuję w imieniu moich tercjarzy! – rzekł podając rękę doskonale krągłym gestem światowego człowieka. A gdy mu dłoń ściskano, wtulił się w ramiona i pochylił postać długą, jak osoba duchowna.

– Ależ to ja, księże kanoniku, dziękować winienem – odparł hrabia najpoprawniej. Był na tyle uprzejmym, że zechciał zakończyć rozmowę akcentem towarzyskim, aby zatrzeć wzajemne może niesmaki po tych nudnych sprawach pieniężnych.

Mówił tedy:

– Nasz gospodarz jest w zachowaniu się, w atitudach<sup>37</sup>, w sposobie ujęcia sprawy i wytrwałości całkowicie *ministrable*<sup>38</sup>... Aa – zupełnie *ministrable*!

Ksiądz zwrócił się tym razem ku przysłoniętym wciąż jeszcze drzwiom do salonu i wślizgnął się giętki za ich portierę.

W grupach panów ukazywał się mundur wojskowy, witany

---

<sup>37</sup> *atituda* (z fr. *attitude*) – postawa. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *ministrable* (fr.) – godny mianowania ministrem. [przypis edytorski]

zdumieniem w oczach i przesadną wnet potem uprzejmością gestu. Pułkownik obracał się w tej atmosferze z wschodnią dyplomacją: był dobrodusznie zażyły, pocziwie niedbały, nie oszczędzając sobie po wschodniemu i cichej złośliwości w akcentowaniu swej prostoty wobec tego nadmiaru cudzej *gentilezzy*<sup>39</sup>. Odnalazłszy na kanapie tłustego obywatela z Litwy, przysiadł się do niego, a raczej dał za jego przykładem nura ku poduszkom i szeptał mu do ucha:

– Z tymi tu ludźmi nigdy nie zażyjesz! Coraz to grzeczniej między nimi i coraz to bardziej ślisko. Każdy masło uprzejmości z oczu i ust sączy, byleś się o niego nie otarł odrębnością jaką, byle życie samo prześlizgnęło mu się gładko po duszy. Żadna ręka tu drugiej mocno nie chwyta, żadna myśl cudzą się dołą nie zatroska. Poodgradzali się tu ludzie od siebie grzecznością, każdy w skorupce swej gładkiej. I wszyscy, rzekłbyś, jednacy. U nas choć ćwieki w głowach – a wyróżniają ludzi. I tym życie pociąga, że ludzie w nim wszelacy; a każdy tym stoi, że od innych odmienny. Wszystko ludzkie jak kleszcz ciebie się tam u nas chwyta: ciekawa bo rzecz, przeciekawa, „człowiek” to! I ona to, ciekawość nasza do ludzi, w dole ludzkie nieraz wirem pociąga, każdego żyć zmusza i, chcesz nie chcesz, twoją prawdę życia z ciebie dobywa. Zaduszewniej żyją ludzie nasi!... Tu się każdy jak robak w sobie zwija, swoje namiętności pod ziemią chowa, jak grób o sobie milczy i jak grób dla drugich się wybiela. Spojrzysz – życia nie dopatrzysz, słuchasz – westchnienie chyba

---

<sup>39</sup> *gentilezza* (wł.) – uprzejmość, grzeczność. [przypis edytorski]

usłyszysz.

– Jak na cmentarzu – he?

– Toż mówię. Jest u mnie Sasza, syn. Ten zawsze na mnie nastaje: „Czego ty, papa, do nich leziesz?” Mało czego! – przywyka człowiek do ludzi. Ileż to lat od sześćdziesiątego trzeciego? I kamień na polu jego trawą porasta. Swój ja język zepsuł, waszego się nie nauczył. Śmieje się ze mnie Sasza.

– Nie lubi nas syn?

– A czort go wie, lubi czy nie lubi! I nie w tym rzecz między ludźmi. Tu on się rodził, tu chował, a bardziej on wam obcy: „No, co u nich? – pyta. – No co? Czego leziesz?” – Młodości i życia nie czuje on w was: ot co!

Thusty pan nabrał powietrza w policzki i wypuścił je z odętej twarzy jak dym.

– Tak – wydmuchał wreszcie. – Gdy ojcowie współczuć już zaczynają, synowie już lekceważą. Zwykła kolej.

– Nu, Wojciech Stanisławowicz! – mitygował go pułkownik, położywszy mu rękę na kolanie. – Tu to was szlachtę – na honorze połączaj. Dziad jenerałem był napoleońskim – wiadomo.

Siwe oczki pułkownika dokończyły zezem: „Zatłuścił wnuk!”

Ujrzawszy tymczasem kogoś w tłumie, począł się przyglądać, przechylać bokiem, wreszcie zerwał się z miejsca. Dobrozacna złośliwość w siwych oczach zgasła natychmiast, zatliła się w nich iskra szczerzej życzliwości; a na siwych wąsach i rudawej brodzie

osiadła ta powaga prostoty, z jaką tamtejsi ludzie starsi umieją się jeszcze zbliżyć do kobiet i dzieci. Kłaniał się z początku z rezerwą, lecz uradowany wraz wyciągniętą ręką dziewczyny i krzepkim uchwytem dłoni, zatrzęsł mocno jej ramieniem.

– Bóg zapłać, że poznała!... Ot i panna zrobiła się tymczasem. Ile to lat – tam na wsi?... Sześć? Cała wieczność w tym wieku!

Nie wypuszczając jej ręki, odstąpił nieco w tył i ogarniał ją całą wzrokiem.

– Wszystko, co w dziecku brzydkie było, ładne się stało i „ważne”. Znaczy się, kobieta cała była w tej główce małej. I dola! Bo ja znachor po trosze. Tylko nie z ręki wróżę, a z oczu, gdy jasne, z ust, gdy nie kwaśne. Ot i ten uśmiech! Dla kogo psotny, dla kogo niespokojny, komu co obiecujący, a dla mnie „ważny” – jak życie, jak młodość sama... Daj Boże, jak najwięcej radości! – wołał, ściskając jej rękę aż do bólu.

Nina sprężyła się niewolnie w poczuciu rzeźkości wielkiej, jaka wstępowała w nią przed tymi oczami, tak szczerze radującymi się jej młodością. Człowiek ten, widziany niegdyś w dzieciństwie, był mimo wszystko tak dziko obcy jej życiu i stosunkom, że najprostsze słowa powitania z trudem przychodziły na usta. A jednak krzepkość tej poważnej postaci, ukłon jej chrześtny, krótki pobrzęk szabli, munduru nawet barwa i połyski narzucały jej jakby rytmy szparkie. Wstrząsnęła bezwiednie grzywą i, wciąż jakby urastając, rozplómieniała cała uśmiechem otuchy... do samej siebie: rzekłbyś – powitanie ojcowskie, które zwały puls jej krwi błyskiem w swe oczy

chwyciło, jej uśmiechem roziskrzyło się całe, za bary jakby chwyta, w górę podnosi i na konia chyba posadzi.

Hej! ochoty w życiu jak najwięcej!

Jedna z dam w stroju ni to empirowym, ni to w szacie dla osoby brzemiennej – w sukni „reformowanej”, znudzona mdłą gawędą kobiet w salonie i nieodważająca się wejść do gabinetu pełnego niskiego rozgwaru mężczyzn, snuła się tęsknie w pobliżu, wdychając pełną piersią dymy od cygar. Siadła wreszcie skromnie tuż przy drzwiach palarni, dobyte z wielkiej na przodzie kieszeni swych sukien całą garść notatek i zapisanych skrawków papieru, odnalazła wśród tych szpargałów zapalniczki, bagaż swój spakowała z powrotem w kieszeń chłonną i, przybrawszy obronny wyraz twarzy, zapaliła papierosa.

Przepuściwszy mimo oczu uważnych całe szeregi panów, stała się nagle czujną.

– Kto to jest? – rzuciła niecierpliwie w pusty pokój, ledwo drzwi zamknęły się za jednym z przechodzących.

– Były przyjaciel naszej diwy – podwinął się nie wiadomo skąd pan Horodyski.

– Ach, tak! – rzekła głuchym altem. – No, to się rzecz tłumaczy. Artystki zabierają tym klepom z salonu zawsze najlepsze kąski.

Pan Horodyski rozpromieniał w okamgnieniu. I, rad tej znajdzie niespodzianej, zatarł suche ręce, gotując się na dobrą rozmówkę.

– Dlaczego to, proszę pani, wśród tylu tu „kąsków” ten jeden ma być najlepszy? Nerwy kobiece są wprawdzie przedziwnym dynamometrem...

– Serce kobiety doznaje w życiu więcej zawodów niżli jej nerwy.

– Ale te ostatnie bywają dla niej bardziej nieukozone.

Parskał i chichotał sam, bo dama z niezmaconym spokojem na twarzy pogodnej otrząsała popiół z papierosa. Jego ogarniał już entuzjazm dla otwartego wejrzenia niewiasty świadomej. Nieprędko spostrzegł, że tuż przy nim trząśł brzuchem dostatnim jegomość o dziwnie lśniącej pełni roześmianych w tej chwili policzków. Pan Horodyski poznał znajomego fabrykanta Szolca i przedstawił go wnet. Dama spoglądała nie bez aprobaty, jak między wyłogami fraka wyciskał się ten brzuch śmiejący, niby dojrzały kasztan z pękniętej łupiny. „*Rond-point*<sup>40</sup>”, nazwała to sobie w myślach. A gdy ją zaleciał błękitny dymek cygara, rozchyliła nozdrza.

– Ogromnie lubię, kiedy mężczyzna pali cygaro – rzekła swym niskim altem.

Pan Szolc w odpowiedzi na ten niespodziewany awans wyprostował krępa postać, wystawił swą małą nóżkę spod brzucha i zaciągnął się mocno cygarem. I to nieoczekiwane podrażnienie fantazji skojarzyło się w nim rychło z łatwą pobudliwością apetytu. Pomyślał tedy, że z tą panią miło by było spożyć na osobności kolację, gdyż takie zwykły jadać dużo i ze

---

<sup>40</sup> *rond-point* (fr.) – rondo a. półkole; tu: okrągłość. [przypis edytorski]

smakiem, nie pijąc, podniecają się dziwnie samym jedzeniem i bywają wtedy najciekawsze w sprośnych rozmówkach nad talerzem.

Dama tymczasem wychylała się ku drzwiom do dalszych pokoiów, kiwając na kogoś z daleka.

Na progu zjawiła się Nina. Jej jasnych sukien szmer i zwinność przyniosły jakby wiew ochłodny w duszną dymnicę cygar. Po niedawnej rozmowie z pułkownikiem w poczuciu wciąż jeszcze w dwójnasób lekka, tą rzeźkością niemal harda, śmiała się ku nim całą postacią, jakby wstrzymaną w skoku: głowy podrzutem pytającym, włosów zuchowatym odgarnieniem z czoła i twarzy otwartej roziskrzeniem ciekawym.

– Ot, jaką ja sarnę wywabiłam na progi – rzekła dama.

Szybkością ptasiego odruchu podrzuciła się głowa dziewczyny w stronę głosu. Zastłyszane słowa i ich sens znalazły się w tej głowie o wiele później. I wtedy dopiero zaniepokoiła się: tym zapatrzeniem się wszystkich i tą ciszą, jaką witano ją tutaj. Teraz osadziła się rzeczywiście jak sarna: wyciągnęła się szyja zdziwiona, zaokrągliły się oczy, na nozdrzach zapulsował niepokój.

– Państwo śmieją się ze mnie?...

– Panno Nino!... Proszę pani!... Ależ, skądże? – wołali jedno przez drugie, jak gdyby budząc się kolejno z zapatrzenia w tej bezwiednej adoracji – dla instynktu.

Pan Szolc częstował damę papierosem, zwracając się na psotę i ku Ninie z cygarnicą otwartą.

– Właśnie, że poproszę! – sięgała zuchowato.

– Pani nie byłaby tak mało zazdrosną o swoich chłopców? – nawiązywała tymczasem dama przerwana łaskotliwość dialogu.

– Kiedy ja nie mam... – wyrwało się z ust już nazbyt prosto i niemądrze.

Zaczerwieniła się w pierwszej chwili, ale gdy przyłożyła usta do papierosa, wydało jej się nawet zabawne.

– Ja bym się z panią nie podzieliła moim, gdybym miała.

– „Nie podzieliła!” – pisnął dyszkantem pan Horodyski. I zacierał ręce, strzygł oczy.

– Dlaczegoż to nie? – pytał alt.

Właściwie nic już nie wiedziała, co ma powiedzieć. Do podnoszonego w widłach palców papierosa wyciągały się usta z daleka w długi i niemądry dziób. I tak się do niego przykładała ustami, cmokała w munsztuk, ku coraz to rozkoszniejszemu błyskowi w oczach panów. Wreszcie chwyciła dym.

– Bo... – próbowała nawiązać zerwane nici w myślach, wypuszczając z fantazją smugę dymu.

Już i papieros dawał się łatwo; kłębił się dym w ustach i szczypał język niecierpliwy. W podrzucie głowy i upartym uśmiechu, który z warg mimo wysiłku spędzić się nie dał, był taki rezon i hazard<sup>41</sup> na słowo, że panu Horodyskiemu aż się przymrużały oczy i pulsowały żyły na łysym ciemieniu. W bezinteresownej aż ekstazie gotów był milczeć, stulić się, nie istnieć, byleby móc słyszeć, jak to w takiej główce myśli

---

<sup>41</sup> hazard – tu: skłonność do ryzyka, brawura. [przypis edytorski]

sprośne jawią się nieomal intuicyjnie. Czerstwiejszy w swej tuszy elastycznej pan Szolc uwijał się żwawo koło dziewczyny; w instynktowej potrzebie praktycznych wszędzie orientacji życiowych „kalkulował” pan Szolc swe pytania. Zagadując ją gwałtownie, odparował niejako od reszty towarzystwa, przyparł do kąta i rozpowiadał coś ochoczo a prędko, przemycając w tej gawędzie raz po raz jakieś pytanie ukryte.

Nina zapalczywie pociągała papierosa.

A on rozpowiadał coś w te dymy przed jej twarzą, mówił póty, aż się dziewczyna zachnęła.

– Z chłopcami?! I ciągle o nich! E, już mnie to znudziło! Czy widuję się na spacerze? Czy mam znajomych? Nie rozumiem.

Zaczęły się w niej budzić jakieś zastanowienia nieokreślone.

– Et! – zachnęła się nagle i odrzuciła precz papierosa. Szybkimi ruchami głowy zwracała spojrzenie na wszystkich po kolei i, nie mówiąc ani słowa, skierowała się ku wyjściu. Lecz pan Horodyski rozkrzyżował ramiona na progu. I tak się obaj zakrzęcali koło niej gorliwie, z tak zabawnie zatroskanymi ruchami, że zagadali wraz i rozproszyli wszystkie jej myśli.

Parsknęła śmiechem.

Wobec tego zakrzęcali się jeszcze gwarniej. Słyszała zaledwie piąte przez dziesiąte...

– Tyle pań prosiło (na uboczu oczywiście), a pan Szolc nie chce pokazać. W Aix-les-Bains kupił ten breloczek, dokąd co roku jeździ.

– I obrazek znowuż jakiś! – wydeła wargi na nich obu. – Byle

głupstwo niewymyślne służy za haczyk...

– Na ten najczulszy nerw w kobiecie: nerw ciekawości.

– Och, te niemądre kobiety!

– Takie oburzanie się na wszystkie powiększa tylko gorączkę ciekawości u każdej.

Tym razem spojrzała na nich z zabobonna już nieufnością. Wyciągnęła się znów szyja i rozchyliły wargi niemądrze.

– Ot! – machnęła nagle oburącz.

I zakręciwszy się na pięcie, wybiegła z pokoju.

Nie śpieszyła się jednak do salonu – w nudne, jak jej się teraz wydało, gawędy kobiet między sobą. W sąsiednim pokoju zatrzymała się przed lustrem pod pretekstem poprawienia włosów.

Ramiona wzniesione splotła dłońmi w tyle, na ciemieniu, i zamyśliła się nad sobą przed zwierciadłem. Od kominka biła łuna na pokój, a przesycona mglistym pomrokiem wnętrza osiadła zaledwie nalotem czerwonym na tafli lustrzanej, nie wnikając w jej głąb ciemną.

Otrząsała się ze swych myśli i z wyrazem niechęci ku sobie jęła szybkimi ruchami upinać włosy.

Na palenisku osunęło się kilka bierwion, dobywając z zarzewia płomienie ostatnie, tak wartko trzepoczące się ognistymi skrzydły<sup>42</sup>, tak żwawe w iskier warkoczach, niby w tańcu rozwianych, że ta ich chyżość i swawola zadrwiły – wydało się Ninie – z jej smętku. I póty szydziły z niej, aż nie ujęły

---

<sup>42</sup> *skrzydły* – dziś popr. forma N. lm: *skrzydłami*. [przypis edytorski]

wargom tego odęcia w zasepieniu. Zaśmiała się jak dziecko: wraz ze łzawym podrywem – w piersi nie wiadomo skąd zabłąkanym, a myślom zgoła obcym.

Jakby z dalekich mroków zwierciadła wynurzona, skoczyła w lustrzane odbicie w przypochlebnych ruchach postać długa, zaświeciła w odbiciu białą plamą gorsu i kolącym błyskiem małych oczu.

– Ach, to znowuż pan? Boże, jak ja się przestraszyłam – mówiła zupełnie spokojnie. – Pan chyba myszą wyskoczył z ciemnego kąta lub nietoperzem przypadł od świecy tam.

Nie odwracała się nawet ku niemu, obserwując tylko spod powiek jego odbicie lustrzane. Ruchliwe i ostre jak świderki oczy łysego pana śmiały się jakby chytrym posiadaniem jakichś sekretów, a na zajęczych jego wąsach dygotały przemilczenia ciekawe. I koło ust dziewczyny na przekór pogardliwemu wejrzeniu błąkać się znów począł uśmiech, niby żuk natrętny, przypadać do kątów warg i przemykać po policzkach ku oczom zawsze współprzymkniętym.

Jego stać było na razie tylko na nieokreślone pomruki aprobaty: w czerwonej poświacie bijącej od komina złocił się śniady puch na szyi dziewczyny i prześwietlały zwiewne kosmyki włosów pod uszami.

– Niech no pan spojrzy! – krzyknęła nagle. – Tam w głębi lustra coś się rusza. Jeszcze naprawdę nietoperz... Cha! cha! – zaśmiała się mimo drgawki niespokojnej w gardle. – Lub może drugi, taki sam.

– Przeciąg – mruknął – i płomyk świecy drga w odbiciu – tłumaczył spojrzawszy niechętnym zezem na to jej zatrzepotanie się dziwne.

– Cha! cha! cha! – chichotała, zła równocześnie na siebie, że tego śmiechu opanować nie potrafi.

Przez uchylone drzwi wsunął ciekawą głowę pan Szolc, a ujrzawszy ich oboje, wywinął się elastycznie na środek pokoju.

„Już pan tu jest?” – witał Horodyskiego chytrym przymrużeniem oczu.

Obaj ci panowie wydali jej się w tej chwili tak ogromnie, tak niewypowiedzianie zabawni, że... Cha-cha-cha! i cha-cha-cha! – zataczała się od śmiechu.

– Ale – doskoczył pan Horodyski do pana Szolca i pochyliwszy się w pałąk, ścisnął jego krępałą figurę ponad brzuchem. – Mój kochany panie, ten obrazek w breloku! Pani wyrażała już pewne zaciekawienie.

– Ja nic nie mówiłam! – krzyknęła jakby w przerażeniu. „Nie – pomyślała równocześnie – ci dwaj panowie, ściskający się jak czuła para: Cha-cha-cha!...”

– Ja tego pokazać nie mogę – zażegnywał się i zastawiał dłońmi pan Szolc, by wnet potem wyjąć z kieszeni kamizelki złoty zegarek z krótką dewizką i uwieszonym na niej brelokiem w formie gwiazdki. – Chyba tak na dłoni. Niech Bóg broni pod światło.

– A drażnią kobiety jak koty – spadło z warg Niny w nadaśnaniu nagłym.

– Jak kotki – poprawił pan Horodyski. – Że też ja nigdy jeszcze nie widziałem pani oczu, że też pani ma zawsze przymknięte powieki.

– Nie! – szarpnęła się nagle całym ciałem w kurczowym prawie podrzucie. – O, ja nie mogę znieść tego spojrzenia! – doskoczyła do pana Horodyskiego. – I tych pańskich wąsów: długich, rzadkich, ostrych – właśnie jak u kota... O, ja bym pana biła! – wyskoczyło z ust z przerażeniem dla niej samej.

Łysy pan parsknął w krótki śmiech i zdławił się nim, bo opadłszy w fotel, zamilkł prawie: w tak częstych i tłumionych drgawkach śmiało się całe ciało jego. A ramiona wywijają mu się w tej radości ponad głową jak skrzydła wiatraka.

– Ależ temperamencik!...

Wszystko, co Ninę bawiło jeszcze przed chwilą tak niepomiernie w szalonych wybuchach niemądrego śmiechu, wszystko to stało się nagle nieznośnym, dokuczliwym i drażniącym aż do łez hamowanych, do spazmu chwytającego za gardło. Wystarczył jeden rzut oka na pana Szolca, aby się w wargi zacisnęła uparta nagle zawziętość: im, sobie, światu całemu na złość.

– Teraz niech mi pan pokaże ten obrazek – rzekła, siląc się na spokój.

A że się certował i jak fryga koło niej kręcił:

– Teraz ja chcę! – krzyknęła nagle, tupiąc nogą. I sprężyła się cała przed nim.

Panowie przerzucili się znaczącym spojrzeniem, bo oto

powieki dziewczyny rozchyliły się po raz pierwszy, ukazując małe jak grochy, złotoczarne, złe, niespokojne źrenice<sup>43</sup>.

W skok znalazła się przy panu Szolcu i wyrwała mu z kamizelki zegarek z brelokiem; lecz ledwo ramię podniosło się z nim do świecy, opadło gwałtownie – rozeszły się palce ręki, opuszczonej w sprężeniu odrazy.

Pan Szolc schylał się po swą zgubę. I jakby nie prostując się wcale, przepadł z pokoju. Panu Horodyskiemu podrzuciły się aż długie nogi na fotelu, a ptasia głowa dziobała w torsji śmiechu własne kolana, kłuła je jak sęp padło<sup>44</sup>, kołyszając tylko łysym ciemieniem.

Ktoś poruszył drzwiami – długi pan stropił się wnet, zakręcił i znikł: myszą skrył się do nory, nietoperzem utonął w mrokach zwierciadła, z których był wystąpił. I jak mysz, jak nietoperz pozostawił po sobie tylko odór swój: woń pomady i tłustych perfum, męski zapach, starokawalerski „bukiet”.

Na kominku dogasały tymczasem głównie, osuwała się ze zwierciadła pulsująca łuna, pozostawiając na nim tylko żółty blask świecy, a na tej chłodnej powierzchni odbicie jej twarzy, jak gdyby nagle nie do poznania zmienionej.

Pulsujące płomienie policzków przyblakły, odbite w zmaconej toni; psota, co błąkała się po nich nieustannie, zgasła niby płomień zdmuchnięty; w bruzdach, jakie pozostawiła po sobie, osadzała się przekorność wzgardliwa, spoglądająca przed

---

<sup>43</sup> *źrenice* – tu w znaczeniu: tęczęwki. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *padło* – padlina. [przypis edytorski]

się otwartymi oczami i twarzą, rzekłbyś, naga; jak gdyby te spojrzenia i gawędy rozdarły niedostrzeżony przez innych woal, szeroko rozchyliły powieki, przygasiły lica, by spod tęczyowych baniek pustoty i rojenia wywabić niepokój cielesności dojrzałej.

Otrząsała<sup>45</sup> się gwałtownie grzywą i miała<sup>46</sup> włosów przed lustrem. Lecz ramiona opadły wnet jak ołowiane ciężary. Przysiadła na fotelu, szukając w tym osłabieniu oparcia; głowa zwiśla na piersi.

Znikła gdzieś ta rzeškość rytmiczna sprzed niedawna, to urastanie w lekkości radosnej, ta krwi otucha serdeczna. Jej rytmy szparkie z tętnic na nerwy przeskoczyły oto i, trzepoczące się przed chwilą w śmiechach niepohamowanych, pulsują teraz w drgawce wewnętrznej, rade jakby rozprząc wszystkie spoidła cielesnego ładu i stępiwszy myśli, wyostrzyć, przeczulić zmysły niespokojne, każąc im słyszeć, czuć, przeczuwać przez ściany dziesiąte – wyolbrzymiać wrażenie każde.

Oto myślą bezładna, czuciem apatyczna – wszystkimi zmysłami natomiast w dwójnasób czujna, słyszy z daleka kroków miarowych chód tak siebie pewny, że wszystko naokół drgać z lekka poczyna w ten rytm, zwiastując niby marsza tłumioną muzykę tych kroków stęp coraz to bliższy.

Mocno wybija się idący takt, drzwi pchnięte rozwarły się wszertz. Szabli do boku przyciśniętej szczęk, ostróg zberknień<sup>47</sup>

---

<sup>45</sup> *otrząsała* – dziś popr. forma 3.os.lp r.ż.: otrząsnęła. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *imać* – brać; tu: dotykać. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *zberknień* – tu: chrzęst, szczęknięcie. [przypis edytorski]

krótkie i u siwego czoła wystawiona dłoń:

– Cześć – mam – kłaniać się!

Pułkownik zachwyił<sup>48</sup> w oczy bystre ten jej gest mdły, spojrzenie niepewne oraz rumieniec przelotny. „Hm! – mrucał w brodę, gdy minął już pokój – naszego tu brata, co wróbli na tę wisznię<sup>49</sup>! Wiadomo: owoc dojrzały musi być zerwany, inaczej zwieje go pierwszy wiatr i zdepcze pierwsza stopa. Nie daj Boże, zostanie na drzewie: robak stoczy. A na gniłki<sup>50</sup> urodzaj to u nich sławny!”

Ktoś ujął go pod ramię. Ta łaskawość protekcyjnego gestu zjeżyła go odruchowo, lecz ujrzawszy przed sobą rozwidlone baki gospodarza, jednym drgnieniem „ułożył się” cały w ruch i wyraz człowieka, obiecującego zabieглиwość. Patrzył tedy czujnie w te rybnie wargi w jamie włosów, cedzące słowa tak skąpo i blado, że trzeba było je sobie w myślach dopowiadać i dobarwiać za pana, który tylko myśleć raczył i chrząkać niecierpliwie, gdy jego intencji w lot nie pochwycono.

Dowiadował się tedy pułkownik z tej żmudy<sup>51</sup>, że

---

<sup>48</sup> *zachwyić* – tu: złapać, schwycić; *zachwyił w oczy bystre* – zobaczył, zauważył spostrzegawczymi oczami. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *naszego tu brata, co wróbli na tę wisznię* – przen.: tłum mężczyzn nadskakujących tej pannie przypomina stado wróbli obsiadających drzewo wiśniowe. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *gniłka* (gw.) – zgniły owoc a. ulegałka; tu przen.: stara panna; kobieta zgorzkniała i bezdzietna lub zepsuta, „upadła”. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *żmuda* – trud, mozół. [przypis edytorski]

korespondent berliński ma sobie polecone od grupy kapitalistów, „interesujących się sprawą komunikacji u nas, wybadanie gruntu w rzeczach tej kolei okolnej – nie tyle finansowego, ile...” Wprawdzie koncesja wydana jest „spółce obywatelskiej”, w tym charakterze pragną ją tam widzieć, ale miejscowe czynniki może będą bardziej ustępne dla tej nowej, berlińskiej kombinacji...

– Mój kochany pułkowniku!...

– Zrozumiałem.

– Jest i druga sprawa. Ludzie zaangażowali się w te place w śródmieściu majątkami całymi, a o ulicy ani słyszeć. („Zresztą i pułkownik masz<sup>52</sup> przecie swój dział”). Należałoby tę sprawę pchnąć argumentacją, jaka tam trafi do przekonania. Ulica otworzy okazałą perspektywę na cerkiew, przesunie ku niej niejako dzielnicę całą i nada miastu przez to pożądany może charakter. – *Et caetera* i tam dalej! – brzmiało najwymowniej z tego wszystkiego.

– Zrozumiałem.

– Mój kochany pułkowniku!

I gospodarz położywszy mu rękę na ramieniu sterował pułkownikiem jak nawa<sup>53</sup>, holując go przez rojny od gości pokój do sąsiedniego bufetu.

– Mój kochany pułkowniku!...

– Zrozumiałem! – zaśmiał się pułkownik tym razem. Ale

---

<sup>52</sup> *Zresztą i pułkownik masz przecie swój dział* – sens: zresztą i pan, panie pułkowniku, ma tam swoją działkę. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *nawa* – tu: okręt. [przypis edytorski]

gospodarzowi nie było do jego złośliwości. Zaczepił go kilkoma słowami do kogoś z obecnych, mrugnął na służbę i wymknął się szybko.

Pułkownik wołał jednak pozostać sam.

„Ty, bracie, potrafisz żyły wyciągać z człowieka! – rachował się w myślach z gospodarzem. I teraz dopiero, jak gdyby prostował grzbiet, otrząsał się cały, wyciągał garścią sumiasty wąs. – I naprowadza taki «tasku<sup>54</sup>» na duszę, że człowiek samemu sobie mierźnie. To jest u nich najwyższa szkoła dyplomacji: być tak bardzo interesującym; słowo żadne nie śmie zadrgać życiem. Pies by mój zaskowyczał, gdybyś ty go pogłaskał. Żoncy to twojej powinszować... Nu, i czort z tobą!» – odmachnął się ręką.

I tak wypił za zdrowie gospodarza.

Rozmyślał cierpko, wystając po kątach z talerzem pod brodą, to przysiadając przy rozstawionych gęsto stolikach, to snując się znowu między ludźmi. „Masz przecie pułkownik i swój plac. Masz, powiedział. Nachał! A masz, boście mi go wetknęli gwałtem... Chadatajstwo<sup>55</sup> – mruzczał – machlerstwo po waszemu. Czort i z wami”.

– Nalej!

I pił tak samotnie dalsze zdrowia.

„Czego ty, papa, do nich leziesz? – mruzczał w brodę, siadłszy

---

<sup>54</sup> *taska* (ros. *M. macka*, *B. mackij*) – smutek, zmartwienie. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> *chadatajstwo* (ros. *xadamaïcwo*) – starania, zabieganie; wstawianie się u kogoś w jakiejś sprawie. [przypis edytorski]

gdzieś na uboczu. – A ty nie leż!... Dobrego tu w nich mało, a zło jest za mądre, za chytro-kryte jak na nas. Oba my przy nim durne jak chłopy. To korespondent zagraniczny, to agent kapitalistów berlińskich, «interesujący się» podmiejską komunikacją. A tam i fortami przede wszystkim... Oto czego on miłośnik!” – mrucało mu basem w piersiach, gdy wargi zacięły się zawzięcie, a złe, nieufne spojrzenie ogarniać zaczęło wszystkich obecnych w pokoju.

– Jaśnie pan każe?

– Niczego nie każe. Chcesz, nalej. Tylko mnie nie rozpytuj o swe „wódeczki”; wolę już: nalej, z jakiej chcesz „flaszeczki”. Że też u nich każde słowo musi być ckliwe i fałszywe! Ty służył w wojsku?... U, obraził się za „ty”! I poniechał „jaśnie panem”. Honorni oni tu wszyscy!

„A ot – mrucał dalej do siebie – założyli «spółkę obywatelską», ale gdzie tu u jaśnie panów dziś tych milionów znaleźć; wiadomo, Niemiec przyjsć musi. Za miliony swoje i jaśnie panów wnet znajdzie, i «spółką obywatelską» się nakryje. Będą i grafy, jest i baron, będzie i ruski pułkownik. Akcjami przecie obdarzą. Widzisz, Sasza, pajęczyna to jaka!... Ni! – odmachiwał się wskazującym palcem, na którym nosił obrączkę – pułkownika tam nie będzie. A akcje wasze to przepiszcie sobie na muzeum, na bibliotekę, na stypendia czy na ekspedycję polarną: jak tam z sesji wypadnie. Oj, czmucaż<sup>56</sup>, czmuca głupim

---

<sup>56</sup> *czmucaż* – czas. *czmucić*: zawracać w głowie, mącić; z dodaną cząstką wzmacniającą -ż. [przypis edytorski]

ludziom głowy! Dwóch by zechciało: zrobiliby. Ale im nie o to przecie. Po wierzchu muzea, sztuki piękne, biblioteki, stypendia, ekspedycje polarne – to żeby swoim głowy zadurzyć; pod spodem «spółki obywatelskie» – to żeby nam piaskiem w oczy rzucić; a na spodku, na dnie samym – Niemiec”.

– Puh! – wydymał pułkownik powietrze z piersi wzdętej; czerwieniał i bladł na przemian.

„Widzisz, Sasza, do czego oni tu doszli... O ulicy nowej chcesz wiedzieć? Na cerkiew to naszą Żydy z nowych kamienic patrzeć będą i ubłazać się, i umilać. Widzisz, tak to oni za jednym ręki obrotem: i swego Boga się wyparli, i cudzym pohandlowali”.

Po chwili, nie zapiąwszy nawet mundura<sup>57</sup>, przeciskał się szerokimi bary<sup>58</sup> między ludźmi. A że gniewny i nieufny w tej chwili, więc mówił już tylko po francusku: „Pardon!” – roztrącał i przepychał się bez ceremonii. Wydostawszy się z zapachu jadła i napojów, wstąpił w dymną atmosferę cygar. Jeszcze jedno drzwi i owiała go ledwo uchwytna woń perfum, ochłody i świeżyzny pełne tchnienie kobiece. „Zażywnie tu u nich” – pomyślał.

I równocześnie dogoniła go tutaj melodia rozchwiejna.

„Tańczują” – rzekł do siebie znacznie łagodniej.

A gdy stanął na progu salonu, gdy w roztopie światła zaroił mu się przed oczami, niby karuzela barwna, ten wir rozkołysany,

---

<sup>57</sup> *mundura* – dziś popr. forma D.lp: mundur. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *szereokimi bary* – dziś popr. forma N.lm: (...) barami. [przypis edytorski]

jakby w rozmarzeń gestach łagodnych pod muzyki i pogwarków kobiecych kapryśnie cichnące rytmy – wówczas pułkownik począł głąskać brodę.

„Elegancko!” – pomyślało mu się niespodzianie po polsku. Z drugiego końca salonu gospodarz złowił go spojrzeniem i zbliżył się wnet do żony – pochylał nad jej uchem. Wstąpiła między pary wirujące i w mimowolnym rytmie walca przemykała się lekka przez labirynt taneczny. Liniami sukien smukłych, rzekłbyś, pływająca, jak wąż giętka na tej błędnej ścieżce, wychyliła z tłumnego zamętu wprost na pułkownika uśmiech twarzy jak zorza jasny i otwartą dłoń przyjaźni.

Przerzucony z bufetu w to oślepienie świateł, przed barwną karuzelę zwiewnych szat i otwartych biustów kobiecych, podrażniony widokiem tej giętkości niewieściej, która w rojnym tłumie węzłem się przemignie i maskę obłudy z taką lekkością na oblicza wkłada – odymał się pułkownik coraz to nieufniej.

„I na co to wszystko? Po co tak przechytry krok ich tu każdy? Jakie sprawy tu zawile, jakie losy tu się ważą? Po co te przyjaźnie, umizgi, świadczenia i obłudy? te stosunki szerokie, te sławnych śpiewaków po swych salonach prezentacje, te sesje o sprawach publicznych i cała ta szkoła dyplomacji... parszywej! – zerwała się w nim wreszcie pasja tłumiona. – Czego ty, papa, do nich leziesz?!... A ty nie leż! Młodości ty u nich szukał!...”

Z tanecznego zamętu wywinęła się tymczasem jakaś para tuż koło niego. Młodzieniec kłaniał się pannie, rękę jej wypuszczając, i cofał się powoli; muzyka wiodła go lekkim

krokiem wprost na inną, pochylała przed nią, w pół ujętą zatrzymać kazała w oczekiwaniu taktu, by stopy zwrotem mocnym wkołysać ją miękko w rytm walcowe.

A pierwsza ani spojrzała za nim, cała w sobie pulsująca, wichrem własnej uciechy wciąż jeszcze owiana. Niby skrzydło motyla trzepał się w dłoni chybkiej wachlarz niecierpliwy pod te nozdrza pulsujące i oczu przymrużenie czujne.

Pułkownik poznał Ninę i kiwał głową:

„Nie wysiepiesz<sup>59</sup> ty w tym ochoty swojej – mrucał pod wąsem – nie wytańczysz jej całej, nie wyblęskasz uśmiechami! ... A wścibskie to musi być! A ciekawe życia jak sroka gnata! ... Żal twej ochoty i sił daremnych!... Czemu ty nie ruska! Zażyłabyś dusz<sup>60</sup>!”

Toteż niedługo tu zabawił: ledwie muzyka ścichła, wracał chmurny do bufetu.

Pogonił za nim wiolonczeli ton podrywny, zaczepny, za pół jakby targający, i basetli chichot niski, niby pijanego śmiech; a ponad nimi skrzypiec zew aż łkający w rozśmiechach radosnych – musowała lekka pianka powierzchniowego życia, pianką jeno pustą wypełniając czarę młodości niejedną.

„Dziś! dziś! dziś!” – łaskotała wiolonczela wszystkie wyobraźnie krótkie na tokowy dzisiaj płas. „A bo my to jacy-tacy! jacy-tacy!” – hukala inna basetla jurnym śmiechem sylena.

---

<sup>59</sup> *wysiepać* – postrzępić, wywlec nitki; tu przen.: zużyć. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *zażyłabyś dusz<sup>60</sup>* (z ros. *мы зажила бы душой*) – zaczęłabyś żyć [całą] duszą (tj. prawdziwie, do głębi). [przypis edytorski]

A skrzypce ochotą aż rozefkane przynosiły jakieś strzępy pieśni podarte spazmem niecierpliwości – niby bachicznego chóru echo idące.

Wyrywały się tymczasem pary na ochotnika i harcowały bezładnie. Powściągał te animusze i ustawiał szyki wodzirej tak lekki i posuwisty w kroku, że, zda się, kółka miał u stóp, gdy się tak snował bezszelestny i obiegał uśmiechnięty kolisko całe.

Nina już się tu znalazła. A że stopom zbyt długo czekać wypadło, więc pod muzykę niecierpliwą płąsała w biodrach kibicią giętką.

Oto basetli pohuki rytmiczne i wiolonczeli rozmarzyste<sup>61</sup> tony wiodą naprzeciw niej tancerza wyzwaniem twarzy otwartej, jakby przy węża podgarnieniu, przy kontuszowego wyłoga podrzucie, pasa ujęciu hardym i nóg zatupotaniu. Odpowiadała na to wezwanie wdziękiem starodawnym, ustawiona w cichość warkoczową, w dzierlatki płochliwej wtulenie się dziewczęce. Za ręce ku górze wyrzuceni sunęli przed się: on głuszcem poszumnym, ona kokoszą drobiącą.

I wiedli za sobą klucz par długi w rozruchu tanecznym.

„Dziś! dziś! dziś!” – naganiały ich rytmy dziarskie w boisko ochoty. „A bo my to jacy-tacy! jacy-tacy!” – wydymała piersi i gardziele pycha basu pijana. A skrzypce tej ciał młodych fantazji rzucały pod stopy melodie jakby z łopotu proporców

---

<sup>61</sup> *rozmarzyste* – tak w źródle, najprawdopodobniej omyłkowo zamiast: *rozmaszyste*, tj. z rozmachem grane, pełne rozmachu. [przypis edytorski]

dalekimi wichry<sup>62</sup> zdmuchnięte: piosnki dawnej ochoty, co krwi własnością już się stały i na żyłach chyba grają, gdy tak w uszy wichrem uderzą i wskroś przez całe ciało przelecą jak skry.

Tańczono mazura.

Przez szparkę drzwi rozchylonych ręką nieśmiałą przemknęły się chyłkiem dwie dziewczyny i przysiadły ciche na uboczu. Stropiła je powaga wnętrza: rozglądały się w potulnym zaciekawieniu po tych półkach, czyniących z wielkiego pokoju labirynt stosów książek sięgających aż po sufit. Siedziały milczące, wyprostowane w namaszczeniu kościelnym. Zorientowawszy się jednak, że nie ma tu nikogo, jęły szeptać między sobą, zrazu cicho i lękliwie, potem coraz to swobodniej.

– Jak pani cudownie tańczy! – westchnęła z zachwytem ósóbka w białej wełnianej sukni zapiętej surowo pod szyję.

Nina przyjęła tę pochwałę niechętnie, nawet się ręką z lekka odmachnęła.

– Ile w pani życia! – wzdychała dalej blada ósóbka. – Tak dawno nie widziałam ludzi pogodnych, że gdy patrzałam tam na panią, ciągnęło mnie coś, żeby się z panią poznać. Och, i tańczy pani inaczej niż te wszystkie kobiety. O, ja chciałam w ręce klaskać!

Nina kręciła się na miejscu... „Ech!” – miała w myślach za całą odpowiedź. Nie lubiła żadnej przesady, a tej kobiecej, to już instynktownie znosić nie mogła. Zresztą gdyby jej taniec chwalił

---

<sup>62</sup> *dalekimi wichry* – dziś popr. forma N.lm: (...) *wichrami*. [przypis edytorski]

mężczyzna jaki, słuchałaby pewno uchem czujnym, ale kobieta chwalać wdzięki innej to był dla niej sąd żaden i egzaltacja tylko.

– Niech się pani nie gniewa – głaskano ją po rękę, widząc Niny sztywność wobec tych pochwał. – Ja tak zdziczałam, tak od ludzi odwykłam, że mam wrażliwsze spojrzenie na to wszystko od innych. I za nic na świecie bym tu nie przyszła, gdyby nie Lena poczciwa, która mnie siłą prawie do siebie ściągnęła, mówiąc, że mnie to właśnie uleczy. I miała słuszność. Ale, prawda, jaka Lena jest piękna, jaka wspaniała! O, ja mogę zrozumieć nieboszczyka Woydę – westchnęła.

I zapatrzyły się gdzieś nagle, zaszklily jej ciche fioletowe oczy.

Nina, na tajniki cudzych sentymentów czujna po kobiecemu jak detektyw, spoglądała spod oka na tę skromną i wątlą osóbkę, nie biorącą udziału w zabawie i rozplływającą się w ubłozeniach<sup>63</sup> i tęsknotach cichych. Leczy się tam nie wiadomo z czego – „ze zdziczenia”, powiada sama.

– Gdzie pani była ostatnimi czasy? – zagadnęła ją tedy.

– Dziwnie mi przed panią o tym właśnie mówić – odpowiedziała ze swym dobrotliwym i jednostajnym uśmiechem. – Mnie wczoraj dopiero puszczone.

– Skąd? – niecierpliwiła się Nina.

– No, z więzienia – kończyła zdziwiona potrzebą tak wyraźnych tłumaczeń.

Nina podrzuciła głowę. Patrzała milcząca w bezwiednym

---

<sup>63</sup> ubłozenie – osiągnięcie błogości. [przypis edytorski]

rozchyleniu nozdrzy.

– No, za malców z ulicy – tłumaczono jej – że się schodzili u mnie.

– Ach, że pani dzieci uczyła – zrozumiała Nina wreszcie.

– Dzieci! – zaśmiano się w odpowiedzi. – Oni chyba w kołyskach dziećmi nie byli. Wie pani, że oni mnie okradli. Skąd to wszystko na jaw wyszło. Ja ich mimo to bardzo lubię – mówiła wszystko jednym tchem i ciągiem.

Rozpłynęły się jej słowa, rzekłbyś, w zaśnięciu nagłym. I ta jej twarz w ramce zapadniętych skroni i wystających kości policzkowych zapatrzyła się przed się swym łagodnym uśmiechem bezprzedmiotowej tęsknoty.

Nina kręciła się wciąż na miejscu, nie zdając sobie sprawy z dokuczliwego niestatku swego. Coś ją odpychało wszystkimi instynktami od cichych ubłożeń i biernych zachwyków bez krwi nadmiaru i jej pulsus niecierpliwego. Zaś pod tą niechęcią czaiła się trwoga przed dalszym dziś jeszcze upokorzeniem siebie. Gdy serce przypomniało jej się dokuczliwym na chwilę ukłuciem pod pierś, wyrzuciła się ta trwoga z głębi duszy tym obrazem:

Wydało jej się, że to zakonnica siedzi nad nią, chorą w tej chwili, i swym pobożnie łagodnym uśmiechem zachwyca się Niny urodą, tańcem jej niedawnym, by tak jej zaufanie pozyskawszy, spleść na piersiach suche dłonie i opuściwszy powieki poprosić ją o trzy *Zdrowaś* dla wspólnego odmówienia: bo nigdy nie wiadomo, co nam sądzono; zaś święta Brygida, córka królewska, była jeszcze ładniejsza, tańczyła jeszcze

piękniej, a jednak...

Otrząsała się cała. I sprężyła za chwilę, jak gdyby tą pierśią obfitą odpychając od siebie wszystkie smutki życia. Bo pacierz pokutny był jak smutek, smutek jak śmierć sama ludziom obiecana, a niedola życia czymś najgorszym, bo każącym ukochać wszystkie te okropności.

„O nie – nie – nie!”

A jednak wbrew woli fascynować ją poczęły tamtych oczu głębie fioletowe, opal tego czoła, żyłki błękitne na wklęsłej skroni, gładziutkie przyczesanie włosów miękkich o barwie niby kora schnącej krzewiny; a w tej włosów firance rysów marmurowa szlachetność i spokój jak spod dłuta.

„Przecież ona jest daleko ładniejsza ode mnie!” – pomyślała Nina z przerażeniem.

I teraz dopiero zainteresowała się nią żywiej.

– Moja panno Wando – przysunęła się do niej bliżej z nagle przypominianą ciekawością. – Jakże tam było? jak? W więzieniu?! – rzekła mimo woli ponuro. I przeraziło ją teraz samo słowo w własnych ustach. – O, mój Boże!

– Wie pani – mówiła Wanda spokojnie – właściwie bardzo źle było tylko przez pierwsze kilka tygodni, zanim nas nie posegregowano. I po nocach. Kiedyśmy w długiej celi na kilku zaledwie siennikach pod ścianą ułożonych leżały jedna przy drugiej i z głowami owiązanymi tak mocno, że aż bolało, żeby tego najgorszego chociażby robactwa do włosów nie dopuścić. I kiedy drzwi się czasem po nocy otwierały, a te białe głowy

podnosiły się z ziemi jedna za drugą. Najczęściej wpychano taką z ulicy – wie pani! Ta, pijana najczęściej, klnie przede wszystkim strasznie, za chwilę opowiada coś wesoło, czka, z ust oddaje i znów opowiada. A potem, bywało, że położy się tuż obok. Wtedy całe ciało zamiera po prostu ze wstrętu w kłodę drzewa, w kość, a w głowie tylko jeden jęk w odpowiedzi na to wszystko, co się słyszało przed chwilą. I znów się drzwi otworzą: biorą po nocy na śledztwo.

Ninie wysunęła się szyja, jakby w stężeniu nagłym. Wargi wystawiły się w dziób niemądry, a powieki mrużyły się migotliwie, jakby pod światło. Gdy nagle rozciągnęły się szeroko jej usta i w tym kurczowym grymasie poczęły dygotać, chlupać śliną, połykać ją, a policzki zatrzęsły się przy tym jak w febrze. A gdy spojrzała w dodatku na te jej skronie wklęsłe, żyłki na nich błękitne, przygładzonych włosów uczesanie... brzydkie – chwyciła Ninę taka łez tłumionych niemocność, że zerwawszy się z miejsca, rozchwiała się w sobie jak na wicherze gwałtownym.

Za chwilę była już w drugim końcu pokoju twarzą zwrócona do książek na półce, dla podbiegłej Wandy twardo opryskliwa, stopą jakieś rytmy sobie dla fantazji przytupująca przy upartym sylabizowaniu oczami łacińskiego tytułu na grzbiecie którejś z książek.

– Taka jestem dziś rozdrażniona – bąknęła wreszcie na usprawiedliwienie. – Ogromnie niemądra jestem.

Aby złagodzić swą opryskliwość, dała Wandzie krótki pocałunek, uderzyła ją w policzek tym pocałunkiem – tak

tylko, dla przyzwoitego zatarcia swej szorstkości. Lecz za chwilę, jakby w skoku, ujmie nagle te jej skronie w swe krzepkie ręce, odsunie od siebie tę twarz wątłą i patrzy pod pełne rozchylenie przyróżowionych zawsze powiek: spogląda błyskiem małych jak grochy, złotoczarnych, złych, niespokojnych oczu.

– Ach, ty!...

I nuż ją zasypywać pieszczotą najtkliwszą, całunkami najłagodniejszymi, ugłaskaniem jej twarzy opalowej.

– Moja ty najcudowniejsza, jaka jest na świecie!

Teraz Wanda przeraziła się z kolei tą egzaltacją.

Lecz Nina już otrząsała grzywą swe oszołomienie. I uderzyła w śmiech krótki, łzami jeszcze chlupiący.

A gdy powróciły na miejsce i rozmawiały dalej, trzymały się już za ręce.

Lecz Wanda poczęła się jakby wstydzić jaskrawości swych przejść, które tak wzburzyły jej nową przyjaciółkę. Pośpieszyła tedy łagodzić wszystko: – Tak źle było tylko na początku, bo gdy przenieśli gdzie indziej, siedziała już sama; a gdy się do szpitala potem dostała, było już zupełnie doskonale.

– Do szpitala?!...

– O – przypomniawszy powoli swe przejścia – najgorsze były zawsze wspomnienia tych pierwszych czasów. Potem gdy przychodziła gorączka, to mnie w niej zawsze prześladowało wspomnienie jednej z tych... wie pani!... Żeby pani wiedziała, jakie te kobiety są straszne!

– Które? – pytała Nina.

– No, prostytutki. Taka ciężka, otyła – wspominała Wanda z odrazą – Mańka „Kalosz” nazywali ją – bo one wszystkie mają przezwiska.

Nina otrząsała się ze wstrętem: jakaś nieuchwytna dla niej ohyda wyzierała z tego przezwiska.

– Ta Mańka „Kalosz” naprzykrzała mi się swoją opieką. Usługiwała, zabiegała, pobiła się raz o mnie z drugą, ale za to ciągle rozmawiać chciała: „Po coś pani w tę robotę laźła?”

Więc jej mówię prosto, tłumaczę, jak umiem; myślę: także przecie człowiek – zrozumie. A ona pozwala mi tak mówić z pół godziny, kiwa głową, potakuje, a gdy skończyłam, zwiesza wargę i klepie mnie po ramieniu: „Mnie starej... (no, nie mogę powtórzyć!) mnie starej będziesz pani powiadała. Za facetami laźłaś w tę robotę albo przez nich zapędzona. Przecież każda kobieta, cokolwiek w życiu robi, to tylko przez tych... no, znów nie mogę powtórzyć, przez tych... (no, «drani» powiedziała). A my przecie we wszystkim, w co oni nas pchną, mamy więcej i wytrwania, i chytrości, i wszystkiego, co trzeba. W naszych sprawach złodziejskich czy tam w waszych: słyszała pani, żeby kobieta kiedy zdradzała? Chyba że się zemścić chciała. A oni? Hej! Oni wszystko złe w życiu robią, oni siebie nawzajem niszczą. A i waszych sokołów napatrzyłam się przecie, gdy tu pod kluczem w sępów się zamieniają. A my do nich, takich czy innych, jak te ćmy. I do ostatka. Bo my same z siebie to nic. Chyba za mąż się dać lub... się. Tyle tylko potrafimy z siebie”.

Obu dziewczynom omiękły blade w tej chwili twarze, jak

gdyby ich oblicza nie znajdowały jeszcze wyrazu dla takich wrażeń i myśli. Wanda tymczasem przypominała tego grubego, o niegolonej twarzy, z oczami wilka – cywilnego, który naprzód łąził za nią przez kilka dni po mieście, a potem trącał i popychał jak ciele, gdy wioził przez miasto w dorożce wśród nocy głuchoj. Potem wróciła znów do wspomnień o Mańce „Kalosz”, o jej „chłopcu szykownym”, który Mańce wszystkie pieniądze zawsze zabierał i bił ją strasznie. Mańka miała pierś niegdyś nożem przez niego rozprutą. Pokazywała: takie wielkie, obwisłe, obrzydliwe piersi!

I tak oto Wanda rozgawędziła się prawie ochoczo; choć mówiła ze wstrętem, widać było, że by chętnie tak do jutra opowiadała. Z równym wstrętem i równą ochotą słuchałaby i Nina. W oczach dziewczyn zapaliły się niedobre błyski: nie ciekawości bynajmniej – przelała się już dawno przez brzegi wyobraźni – lecz jakby zaszczepianej w tej chwili żądzy za nęką<sup>64</sup> i udręką duszy własnej w tym musowym zafascynowaniu ostatnimi dołami człowieczeństwa i rozkładającymi się w nich trupami dusz; jak fascynuje przepaść wrażliwe zmysły dziecięce, jak to czyni w ich snach gorączkowych jama wężowa.

Lecz oto Wandzie przeskoczyła myśl na pogodniejsze wspomnienia, na tych jej chłopców z ulicy, których uczyła.

– Och, jacy oni żywi!... Wie pani, że powagą nic z nimi nie zrobi, a pogodą wszystko. Oni mi się nieraz przyznawali, gdy

---

<sup>64</sup> *nęk* – dziś: nękanie, znękanie. [przypis edytorski]

który z nich co Chapman.

– Co znaczy Chapman? – pytała Nina.

– No, ukrąść – zaśmiała się Wanda. – W więzieniu poznałam dwie złodziejki, ale młode i naprawdę miłe. O, te się nikogo nie bały, każdemu odpowiadały hardo i z każdego drwiły. Raz się pobiły z dozorcą. Och, jak się pobiły! – klasnęła Wanda w ręce w przypomnieniu. – Potem poznałam jeszcze, wie pani, tynglówkę<sup>65</sup>, piętnastoletnią zaledwie i ładną, bardzo ładną! Ta także okradła gościa w hotelu. Och, ona była zepsuta strasznie! Ale śpiewała ciągle. Ona dała w twarz... Cha! cha! – zaśmiała się oto Wanda po raz pierwszy serdecznie, całym ciałem – dała w twarz!...

Obu dziewczynom oziębły czy też opierzchły zęby w ustach suchych między zgrabiałymi teraz wargami. A w oczach paliły się węzowe błyski. Nina drżała w sobie; a że serce przypomniało się przy bólem niewyraźnym, więc się poczuła niepewnie na krześle. Sięgnęła po jakąś poduszkę skórzaną opodal, rzuciła ją pod stopy Wandy i przysiadła tak u jej nóg na ziemi. Ujęła jej rękę długą i jak lód zimną i położyła ją sobie na czoło.

– Nie kasłaj! – mruknęła po chwili w zadumie.

A gdy tamta sięgnęła po chustkę, podrzuciła uważnie głowę. – Mój Boże! – szeptała po chwili w pełnym przerażenia współczuciu.

Milczały obie.

---

<sup>65</sup> *tynglówka* (daw.) – artystka-prostytutka pracująca w tingel-tangel, tj. w podrzędnym lokalu rozrywkowym. [przypis edytorski]

I zmory życia najplugawsze, wszystkich nędz i krzywd pogńębienia otoczyły rojem ciemnym te głowy dziewczęce. A przez tę chmurę przebijały się przecie dla ich wyobraźni promienie pogodniejsze: *zło* roześmiane, *zło* niepotulne, gnuśności sporne, *zło* mszczące się za krzywdy; *zła* hazard<sup>66</sup> i wyzwanie, fascynujące dusze młode, wyrosłe w pogńębeniach duszy i gnuśności okolnej.

W sali bilardowej, służącej zarazem jako gabinet do palenia, zbierali się panowie, prostując swe członki oraz instynkty po nazbyt długiej wobec dam *gentilezzy*. W szerokiej tedy niedbałości ruchów i w pilnej potrzebie opowiadania sobie rzeczy sprośnych zawiązywały się przy papierosie łatwe kamractwa: brudne gniazda męskiej plotki, pierwsze instancje życiowego sądu, przez które przechodzi imię każdej kobiety z towarzystwa.

W żółte stożki światła nad zielone sukno bilardu wychylały się tymczasem głowy na potylicach od pomady lśniące i krótkie przy nich rzuty ramion. Słysząc było kul grzechot, stukanie liczników, czasem jakieś urywkowe słowa w echowym wtórze ust innych, w dziwnie upartych glosolaliach<sup>67</sup> i przyśpiewach nieustannych: dymna atmosfera ekskluzywnie męskiej czczości w koncercie

---

<sup>66</sup> *hazard* – tu: ryzykanctwo, brawura. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *glosolalia* (z gr. *γλῶσσα*, *glossa*: język i *λαλῶ*, *lalo*: mówię) – dar języków, wygłaszanie pod wpływem religijnej ekstazy słów w języku nieznanym mówiącemu lub w ogóle nieistniejącym. [przypis edytorski]

wygłosów bezmyślnych.

W kącie pod oknem zebrała się inna gromadka. Tam zwracał uwagę ktoś o wyglądzie nieco zakrystiańskim wobec frakowych panów – jegomość w tużurkowym stroju o szerokim, szpakowatym zaroście wokół kościstej twarzy. Uwijał się koło niego zabiegliwie i opowiadał coś żwawo niski blondynek z bródką francuską i paryskim pośpiechem w mowie i gestach. Rozpowiadał z entuzjazmem o jakiejś nowej *l'affaire*<sup>68</sup> paryskiej i dziwił się niepomniernie powszechnej tu obojętności dla niej.

– Piasek to przecie! – mruknął tużurkowy jegomość. – Przesypuje się to w ich klepsydrach i czas im znaczy. A nam co z tego?

– Tam gazety umieją i z tego piasku ukrećć bicz na życie. Trudno, taką jest już zależność wielkomiejskiego życia od wytworzonej atmosfery. Tam rządzi ludźmi potęga, o której my tu pojęcia nie mamy: zaraźliwość rytmem życia. Tam ustokrotnia ludzi potęga widowni życia jawnej. To jest scena obowiązującego gestu: *du grand geste*<sup>69</sup>! – entuzjasmował się niski młodzieniec szerokim wyrzutem ramienia i mimowolnym wspięciem się na palce. – My o jego wpływie pojęcia wprost nie mamy. Jest to widownia piorunowych odruchów tłumnej wrażliwości, momentów uzacniających nawet łotrów, gdy na nich spojrzysz oczekiwanie publiczne: inspiracji scenicznej! Na tym wulkanie ziemia jest trampoliną dla skoczków, u nas wsysa ona każdy krok

---

<sup>68</sup> *l'affaire* (fr.) – sprawa; przygoda; romans. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *du grand geste* (fr.) – wielkiego gestu. [przypis edytorski]

jak torfowisko.

Rozległ się z kąta głuchy pomruk aprobaty; oczy wszystkich zwróciły się w stronę tużurkowego jegomościa, leżącego bokiem przy stole. Ale on wygłosił w tym pomruku wszystko, co miał do powiedzenia; dopiero poczuwszy na sobie wyczekujące spojrzenie kilku panów, przewinał się na krześle i zsunąwszy ciężar ciała na brzeg siedzenia, plecami o poręcz zawisły, zdecydował się mówić.

– U nas – rozpoczął głosem opieszalym – gdy po orce całodzienniej wyjdiesz na ulicę, zastąpi ci drogę kaleka lub sierotka i zanosi się szlochem: „Ga-ze-ta swojska. Niech pan kupi, bo jeszcze nic nie jadłem”. Kupujesz tedy i wraz z tymi kilkoma wiadomostkami ze świata musisz przełknąć jakieś piołunki i ulepki arcylokalne, wreszcie pocznie cię cnić. Ciśniesz gazetę i szukasz czym prędzej czegoś, co by po tej lekturze ożywiło. Przejdziesz jedną ulicą: po prostu jak przed hotelem gubernialnym – dziewczki, Żydy, alfonsy, policja i trochę publiki za dziewczynami. Przejdziesz drugą: pyszny i rojny bazar powiatowy. A reszta ulic – jak głębokie kamieniste dna kanałów. Wracasz tedy na „czwartak”, uśmiechasz się do swego szpiega, który się portierem nazywa, dostajesz za to klucz i sam się dobrowolnie zamykasz między te żłoby „kawalerskie”, w ten świat trywialnej rozpusty, sekretnych chorób, brutalnej nędzy, szpiegostwa, wstrętu i brzydoty.

Wyliczeniem tych rozkoszy ożywił się najwidoczniej, bo wyjął kułak z kieszeni.

– Tej brzydoty nachalnej, która zastępuje ci drogę na każdym kroku i policzkuje każdą twą pogodniejszą chwilę! – wśród tych samodurów<sup>70</sup> ckliwych: przywykli przecie, polubili, ucackali sentymentem wszystkie te „swojskie” brzydotki i wstręciaki... Idziesz tedy do sąsiadów, w ich nędzarne stancje studenckie, między te gaduły ciepło-serdeczne: pysk pyskowi rad, a nuda dobroduszna kuma. Wstępujesz w tych stancji woń zatęchłą, gdzie dymią bez końca brudne samowary i cuchnące papierosy – na te ich dysputy: na żar gadania i zamór ducha. A gdy taki sam zostanie, na tapczan się wali: nie ma sił samemu stać, wszystko z duszy wygadał precz, słowami postrzępił; nawet nie uszom, pyskom wszystko rozdał. Powtórzą to jutro innym gębom. Duszę na kiesel rozdygotał w sobie tą potrójną trucizną: z wschodniego samowara, wschodniego papierosa i wschodnich doktryn. A teraz choć łapę własną ssij, ochoty do życia ci znikąd nie przybyło; a na dnie duszy goryczy tyle, że świat by zatruć mogła... Wylegniesz tedy w okno i patrzysz w bezsłoneczną studnię podwórza, gdzie między brzemiennie baby, rachityczne dzieci i rozgadane sługi weszła katarynka ze szpakiem i całym pudłem wróżb w życie nęcących – losów bujnych, bohaterskich przeznaczeń. W te kilka gwiazd na skrawku nieba wyje dusza beznadziejna. Ot, wam atmosfera! Ot, rytmy życia!

---

<sup>70</sup> *samodur* (ros. *самодур*) – samolub, egocentryk. [przypis edytorski]

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.